Witeź

ROCZNIK I. ZESZYT 7.
d. 1 maja 1908 r.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA
w Warszawie, przy ulicy Książęcej
Nr. 6 (tel. 9-03).
Redaktor i wydawca:
H. St. PYTLIŃSKI



Rys. St. Wyspiański

WITEŹ

czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca w zeszytach niniejszego formatu —

każdy zeszyt zawiera 3 arkusze (48 stron) druku — zamiast dwóch zeszytów styczniowych niektóre z późniejszych są odpowiednio zwiększane (prenumerata liczy się od 1 stycznia).

Dotychczas dodano na rachunek zeszytów styczniowych, ponad zwykłą objętość pisma, 3 ark. druku (48 stron).

Prenumerata wynosi:

w Warszawie — rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2, z przesyłką pocztową — rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kp. 50; zagranicą — rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

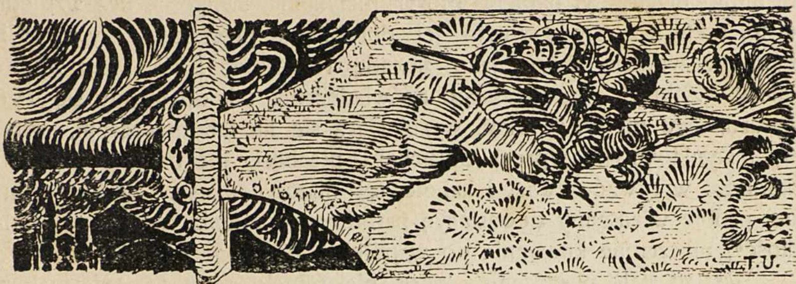
Cena ogłoszeń:

na ostatniej stronie okładki rb. 40, na przedostatniej stronie okładki rb. 35, na oddzielnych kartach (po tekście) po rb. 25—za całą stronicę, z odpowiedniem zmniejszeniem za 1/2, 1/4 i 1/8 stronicy.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Książęca 6.**
Telefon 9-03.

Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od 5 do 6 popoł.
Administracya otwarta codziennie od 11 rano do 5 popołudniu

Cena zeszytu 7-go: kop. 40 (na prowincyi kop. 50), cent. 65, m. 1 fen. 20, fr. 1 c. 50.



WITEŹ
ROCZNIK I ≡ ZESZYT 7
Warszawa, 1 maja 1908 r.

GUSTAW DANIŁOWSKI

Z psychologii konserwatyzmu

Poza ignorancyą, obawą nowych prawd umysłów z natury leniwych, poza usiłowaniem zachowania „status quo“ warstw, których interesom każda przemiana zagraża, my — prócz tych ogólnych podstaw konserwatyzmu — posiadamy własne specyalne, bujnie krzewiące się na tle naszego upośledzenia, gwałtownych klęsk i drobnych ciągłych pokrzywdzeń.

Człowiek, któremu w życiu się udaje — człowiek powodzenia — nabiera pewności siebie, rzutkości i śmiałości zarówno w myśleniu, jak w czynie. Jeżeli zaś życie go stale bije, skarb mu jego rabuje, staje się chwiejnym, lękliwym, upatrując we wszystkiem widmo niebezpieczeństwa, nowy zamach na tę odrobinę *swego*, którą zdołał z pogromu ocalić.

My jesteśmy takim właśnie zahukanym, apatycznym człowiekiem, mocno przywiązanym do każdej resztki pozostałej z dawnych „naszych czasów“, choćby obróconej już przez wieki w próchno, kryjącej w sobie nie zdrowy chleb życia, ale trującą zgniliznę. W promieniach tego uczucia wszystko, co tchnie tradycyą, co przypomina epo-

kę minionej chwały, nabiera gloryi nietykalnej świętości, bez względu na to, czem jest: czy godnym jej dorobkiem przeszłości, czy szkodliwym przeżytkiem, który, jako zawadę rozrostowi życia, precz zabrać należy. Zabrać! — z gorzkiego doświadczenia tak obawiamy się tego wyrazu, tego giestu, że dłoń, wyciągającą się ku łanom naszym, witamy instynktownym wprost odruchem niechęci, nie bacząc na to, co zamierza: wyrywać chwast i kąkole, czy niszczyć kłosy. W każdej takiej próbie wietrzymy dewastacyę narodowego mienia, zamach na „polskość", nikczemne knowania do współki z jej wrogami.

Jest to stałe posądzenie, które nie minęło żadnego reformatora panujących stosunków, żadnej pokusy „poprawy Rzplitej od czasu, jak się zaczęła psować", — posądzenie ciążące na każdym śmielszym wysiłku postępu po dziś dzień.

Nie zdołał uniknąć tych podejrzeń nikt, nawet Kościuszko, nawet Mickiewicz. Jest to stała potwarz, opasująca każdą głowę, która uświęconym tradycyą przesądom, choćby najbardziej rodzimym, najbardziej polskim, miała odwagę rzucić liberum veto. Przekupionymi zdrajcami narodu byli niedawno jeszcze t. zw. pozytywiści; za subwencyonowany przez rząd „Gołos" uchodził „Głos" w Warszawie w najświetniejszej swej dobie, nie mówiąc o socyalistach, którzy z wyrzutków społeczeństwa, emisaryuszów Prus, ledwie gdzieniegdzie zdążyli awansować na anarchistyczne żywioły, odszczepione od rdzenia narodu.

Historycznie zrozumiały, latami utrwalony nałóg konserwowania bez żadnego wyboru wszystkiego, co własne, wypływający dziś już nietylko z sytuacyj zagrożonych, ale i z zewnętrznego upadku wiary, zawiedzionych nadziei, utraty męstwa, z tchórzliwej obawy o swoją polskość, — jest psychologicznem podłożem zachowawczego nastroju społeczeństwa, kamieniem węgielnym naszego konserwatyzmu — niestety, nie jedynym. Dołącza się do tego pożądanie spokoju ludzi znękanych, oraz w silnym stopniu pewne pozorne analogie pomiędzy dążeniami władz a działalnością rzeczników postępu. Powierzchowne te analogie sprzyjają szerzeniu się łatwych, a więc zyskujących posłuch syllogizmów.

Katolicyzm jest krępowany na kresach na korzyść obrządku wschodniego. Postęp walczy z supremacyą kościoła, z obskurantyzmem i zdzierstwem jego przedstawiciela, kleru, — współdziała więc tendencyom nam wrogim.

Po powstaniu starano się zapobiegać zbliżeniu się ludu z dworami (które dziś zresztą odżegnują się od tego widma „szaleństwa" swych ojców): kto przez zbliżenie się do ludu i jego interesów stara się zniszczyć wyzysk, tę najistotniejszą kość niezgody, popiera cudze zamiary.

W sferze stosunków fabrycznych, trudniej dających się wtłoczyć w powyższe formuły, grasuje ukuty *ad hoc* frazes o rujnowaniu krajowego przemysłu, niszczeniu narodowej kultury.

I to wszystko skutecznie działa, potęga bowiem zręcznie zestawionych słów, potęga gładkiego frazesu tam, gdzie szeroka działalność się urwała, gdzie skutkiem tego zanikł zdrowy zmysł społeczny i polityczny, jest olbrzymie. W naszem konserwatoryum posiadamy sporo takich lapidarnych tradycyonalnych opinij, których żadna argumentacya rozbić nie potrafi.

„Polska skończyła się na konstytucyi 3-go Maja — od tej konstytucyi zacząć się powinna".

„Jesteśmy przedmurzem chrześciaństwa, powołanym nadal bronić katolicyzmu".

„Sejm czteroletni ciągle trwa".

„Naturalnym przewodnikiem narodu jest szlachta".

Jednem słowem, ciągle przyczepia się teraźniejszość do punktu, w którym samodzielne życie narodu zostało przerwane.

Płyną czasy, zmieniają się warunki, rwą się do życia świeże siły, powstają nowe stosunki, poszukujące odpowiednich form bytu, a zastarzała uczuciowa i myślowa podagra, świecące starożytną patyną zdania wołają: stać przy swojem. I większość stoi, jak słup Lota, zapatrzona w spopielałe zgliszcze dawnego siedliska, obwołując za rzeczywisty patryotyzm pełnienie rytualnych obrządków, płaczliwe nabożeństwa, dewocyę polskości.

Nigdzie tak silnie, jak w naszem społeczeństwie, nie ciąży nad życiem władza umarłego, nikt nie wlecze tak licznej armii trupów za sobą, z którą nieraz jest ciężej zmagać się, niż z żywymi, bo to umarłe było rdzennie nasze, a bieżąca doczesność posiada mnóstwo pierwiastków cudzych, narzuconych, jest więc traktowana niby obcy intruz, którego dokuczliwość potęguje tęsknotę do zawrócenia wstecz dziejów.

I z tem najtrudniej bodaj jest walczyć, jako z uczuciem podsycanem przez wspomnienia historyczne, oplatanem kwiatami poezyi, uczuciem pełnem nieodpartego uroku, rozmiękczającem energię życia

przez czar wspomnień istnień zagasłych, przez smutek po nich i łzy, a w swej treści istotnej uspasabiającem do konserwatyzmu.

Tyle przeszkód wewnętrznych ma postęp do zwalczania, nic więc dziwnego, że spotykając prócz nich jeszcze zewnętrzne, odbywa się powoli, a każdy śmielszy jego krok jest witany, jeśli nie wrzawą świątobliwego oburzenia, to podejrzliwą nieufnością tej zaskorupiałej w sobie, zmarniałej w jarzmie, zwierzchniej warstwy społeczeństwa, którą możnaby nazwać sparciałą historycznie. Skazana na jałowość przez wychowanie w tradycyach, w heraldyce, w patryotyzmie bezpłodnych westchnień, w zaduchu tych wszystkich przesądów narodowych, nawyknień psychologicznych, instynktów atawistycznych, w chełpieniu się ze zwycięstw grunwaldzkich, które mają równoważyć klęski dzisiejsze, wystarczyć za wszystko, — pragnie spoczywać na laurach, które nietylko zwiędły, ale już zgniły na nic. W tej sferze będzie zawsze „laurowo i ciemno“.

Znacznie za to pewniejszym materyałem do przejęcia się nowożytną ideologią jest podstawowa warstwa narodu: lud wsi i miast.

Dla niego nie istnieją magiczne zaklęcia przeszłości, bo w niej udziału nie brał; on budzi się nie do snucia sentymentalnego snu mogiły, ale do realnego życia, które z fatalną, nieprzepartą siłą pędzi go do schwytania za łeb swego losu, do wydarcia się z matni, w którą się dostał bez winy. Toteż głos jego, gdy otwiera nieme dotychczas usta, rozlega się tak męsko, dobitnie i stanowczo, jak w słowach: „Walcz o prawdę aż do śmierci“.

Czytając je, nabiera się wiary, że szeroka, płodna fala walecznego postępu wybuchnie z tej strony, że nie mylił się Mickiewicz, gdy radził:

> Nasz naród, jak lawa,
> Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa;
> Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
> Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

W tej głębi wiedza praw i narodowej przeszłości nie zastyga w martwe rysy, nie splata się w tradycyonalny kołtun (*plica polonica*): lecz rozpływa się jak żywa siła, jak świeża krew po wyschniętych arteryach narodu, zapalając nieugaszoną wolę przyszłości. —

W skorupie zaś, wyziębłej w ciągu stu lat,—sztywnieje w umarłe kształty, których „żaden cud nie wróci do istnienia“.





D-r WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ

Kapitalizm a feudalizm

Kapitalizm bynajmniej nie jest pierwszą formą wyzysku, a nie wiemy jeszcze napewno, czy będzie ostatnią. Przed 60-ciu laty kapitalizm zapanował nadobre jedynie w Anglii, na stałym zaś lądzie Europy był dopiero wyjątkową formą wyzysku—(obacz artykuły Marksa w „Nowej Gazecie Nadreńskiej"). Według świadectwa tegoż autora („Kapitał", tom I, część 7, rozdz. 21) jeszcze przed 40 laty ogromną większość ludu pracującego w Europie i poza Europą wyzyskiwano w formach przedkapitalistycznych. A i dziś nawet twierdzenie, że „ustrój kapitalistyczny panuje we wszystkich krajach cywilizowanych", jest poprostu bajką dla dzieci. Nikt chyba nie odmówi Chinom miana kraju cywilizowanego; a przecież w Chinach importowany kapitalizm europejski stanowi jak dotychczas dość nieznaczną domieszkę do swoistych form gospodarczych, całkiem odmiennych od kapitalizmu, bo na bardzo szeroką skalę opartych na współdzielczych formach własności. A i kultura Indyj jest chyba nieco starsza od kultury Łodzi; jednakże jeszcze bardzo daleko od tego, żeby się jako całość stać miały kapitalistycznym krajem na modłę europejską, i niewiadomo jeszcze, na czem się skończą próby przerobienia Indyj na tę modłę. Chiny zaś i Indye razem, to blisko połowa ludzkości cywilizowanej. Jakie zaś nowe

formy bytu społecznego wyłoni z siebie ta połowa ludzkości cywilizowanej, dla której kapitalizm nie jest wykwitem swojskiego rozwoju, lecz obcą naleciałością, ściśle związaną z najazdem albo próbami najazdu, to przyszłość dopiero pokaże.

Ale nawet i w Europie współczesnej kapitalizm nie jest nieograniczonym panem całego życia gospodarczego. Obok kapitalistycznych form własności i produkcyi widzimy z jednej strony bardzo okazałe zabytki poprzedzającego kapitalizm ustroju gospodarczego: feudalizmu, a prócz tego spotykamy cały szereg zjawisk, będących niewątpliwymi zwiastunami przyszłego ustroju ekonomicznego, opartego na zbiorowej własności narzędzi i zbiorowej pracy. Co do tych zwiastunów, dość wspomnieć o robotniczych kooperatywach spożywczych w Anglii, o ich obrotach wielomilionowych, ich fabrykach, kopalniach, gruntach, ich flocie handlowej na morzu; o wpływie angielskich związków zawodowych na administracyę fabryk kapitalistycznych; o wpływie dążności kolektywistycznych na gospodarkę gminną w licznych miastach angielskich, i dość wspomnieć o tem, że podobne zjawiska, acz w mniejszych rozmiarach, coraz częściej już i na stałym lądzie Europy spotkać można. A co do zabytków feudalizmu, to w tejże Anglii, która pierwsza zpośród wszystkich krajów świata rozwinęła u siebie nowoczesny przemysł kapitalistyczny, pozycye zajęte przez feudalizm do dziś dnia są nader poważne. Wszak w Anglii właściwej, najbardziej przemysłowej z pośród dzielnic Wielkiej Brytanii, połowa wiejskiej ziemi jest i dzisiaj, jak sto lat temu, feudalną własnością rodów magnackich; wszak ogromną większość drobnych, średnich i wielkich gospodarzy rolnych i w Anglii i w Szkocyi stanowią nie właściciele gruntów, tylko czynszownicy, którzy osiedli i zabudowali się na ziemi magnackiej; dalej w miastach angielskich kamienicznik najczęściej również nie jest właścicielem, tylko czynszownikiem, a czasem wszyscy kamienicznicy całej jakiejś ogromnej dzielnicy, większej niż Kraków, są czynszownikami jednego magnata; wszak spadkobierstwem magnackich posiadłości do dziś dnia rządzą osobliwe ustawy rodowe, niestosowane do majątków mieszczańskich; wszak ekonomiczne przywileje tych rodów zabezpieczone są potężnym przywilejem politycznym: połowa władzy prawodawczej przypada w udziale zebraniu dziedzicznych prawodawców-magnatów, Izbą lordów zwanemu. W innej postaci spotykamy ślady dawnego feudalizmu we Francyi współczesnej. Myliłby się bowiem, ktoby w latifundiach

francuskich upatrywał wynik kapitalistycznej koncentracyi zagród chłopskich; przeciwnie, zazwyczaj są to poprostu dawne posiadłości szlacheckie, które przetrwały trzy rewolucye i zmieniły tylko właściciela — a i to niezawsze. Jeśli republice francuskiej jeszcze tak niedawno dwa razy — raz za Mac-Mahona, drugi raz podczas sprawy Dreyfusa — poważnie zagrażał spisek arystokratyczny, to było to możliwe nie dlatego, że wszyscy ci markizowie, hrabiowie, wicehrabiowie i t. d. zachowali swoje tytuły szlacheckie, lecz dlatego, że w tak znacznej mierze zdołali ocalić drogocenny swój przywilej ekonomiczny: wielką własność ziemską. Co do Niemiec zaś, to chyba nikomu nietrzeba dowodzić, że ową klasą panującą, która rej wodzi w Prusach, a na czele Prus zawojowała Niemcy, nie są fabrykanci, tylko junkrowie pruscy. Interesom junkrów, nie zaś fabrykantów, służy niemiecka taryfa celna; a właśnie w ostatnich dniach zważyły się losy polskiej ludności pod zaborem pruskim w dwóch instytucyach junkierskich: Izby Posłów sejmu pruskiego o zapewnionej większości junkiersko-landrackiej oraz Izby Panów tegoż sejmu, złożonej wyłącznie z dziedzicznych prawodawców krwi szlacheckiej. W Austryi znowu do dziś dnia połowa władzy prawodawczej spoczywa, tak jak w Anglii, w ręku Izby Panów, złożonej w pierwszym rzędzie z dziedzicznych prawodawców-magnatów; przywilej ten przetrwał burzliwą walkę o reformę wyborczą. Przed tą reformą, a więc aż do 1906 roku, wielka własność ziemska była w Austryi uprzywilejowana także w Izbie Posłów, a do dziś dnia jest uprzywilejowana w sejmach krajowych. Podobnie uprzywilejowana jest arystokratyczna wielka własność ziemska na Węgrzech, gdzie Izba wyższa parlamentu całkiem wyraźnie nazywa się „Stołem Magnatów"; podobnie w Szwecyi i t. d. Słowem, rzadki wyjątek stanowią w Europie spółczesnej kraje, gdzie, jak w Norwegii lub Szwajcaryi, feudalizm już całkiem lub prawie całkiem został usunięty z widowni; a ponieważ są to kraje małe, względnie ubogie w ludność (ludność Szwajcaryi i Norwegii, razem wzięta, wynosi zaledwie połowę ludności Królestwa Polskiego), więc feudalizm sąsiednich krajów poniekąd i na nie oddziaływa. Jak zaś silnym narazie okazał się feudalizm na wschodzie Europy, na to nieuprzedzonym badaczom faktów nawet uwagi zwracać nietrzeba. Podciągać zaś feudalizm współczesny pod nazwę „kapitalizmu rolnego", to znaczy mijać się z istotą rzeczy. Albowiem istotą kapitalizmu jest wolna konkurencya, gdy istotą feudalizmu — wy-

kluczenie wolnej konkurencyi przywilejem. Cechą znamienną kapitalizmu jest nieustanne potęgowanie sił wytwórczych; cechą znamienną feudalizmu jest obrona przywileju kosztem zatamowania sił wytwórczych. Współczesną wielką własność ziemską wówczas można byłoby nazwać kapitalizmem rolnym, gdyby powstała była przez koncentracyę drobnych posiadłości włościańskich drogą wolnej konkurencyi; tymczasem rzecz się ma wprost odwrotnie. Wolna konkurencya prowadzi w rolnictwie nie do koncentracyi, lecz do parcelacyi. A podczas, gdy w mieście przywilej cechowy tak długo bronił rzemiosło od pochłonięcia przez wielki przemysł fabryczny, na wsi przywilej broni latifundia magnackie od rozpadnięcia się. Przywilej jest warunkiem bytu wszelkiego feudalizmu; toteż, gdziekolwiek na świecie spotyka się wielką własność ziemską, jako zjawisko masowe, zgóry można być pewnym, że stworzył ją przywilej. Reguła ta, nawiasem mówiąc, nawet w Ameryce się sprawdza. Takiem to pochodzeniem wielkiej własności ziemskiej tłumaczy się, dlaczego ta wielka własność tak wspaniałe pozycye zajmuje na Wołyniu i Białej Rusi, a o wiele skromniejsze w Belgii, Nadrenii, Westfalii—właśnie dlatego, że Westfalia, Nadrenia, Belgia, to kraje wysoce kapitalistyczne, a Wołyń i Białoruś nie.

Powtarzam więc: nie żyjemy w okresie wyłącznego panowania kapitalizmu, i nie jest dowiedzione, że kiedykolwiek taki okres nastanie. Widzimy przeciwnie, że w chwili, kiedy w centralnych siedzibach kapitalizmu powstają zarodki przyszłego ustroju współdzielczego, tenże kapitalizm nie zdołał jeszcze wyprzeć swojego poprzednika, feudalizmu, z całego szeregu mocnych twierdz. A to pozwala przypuszczać, że kapitalizm tego zadania wogóle już nie dokona z własnej siły, lecz tylko w sojuszu z siłami przyszłości.

Możnaby wprawdzie zarzucić, że dzisiejsza wielka własność ziemska, pomimo przywilejów ekonomicznych, prywatnoprawnych i politycznych, jednakże całkiem inaczej wygląda, aniżeli feudalna własność ziemska w XV wieku. Niewątpliwie; ale to tylko dowodzi, że feudalizm zmodernizował zewnętrzną swą postać. Wszak i kapitalizm przemysłowy, w ciągu marnych kilkuset lat żywota, różne już przeszedł metamorfozy. Inaczej wyglądał kantor, dostarczający surowca licznym rzemieślnikom domowym i odbierający od nich gotowy towar, inaczej wyglądała rękodzielnia kapitalistyczna; a fabryka znowu inaczej się prezentuje, niż rękodzielnia. A dalej, fabryka akcyjna znów inne przed-

stawia cechy, niż fabryka osobiście kierowana przez właściciela; kartel znów jest czem innem, niż stowarzyszenie akcyjne, a trust czemś innem, niż kartel. A jednak wszystko to—kapitalizm. Otóż podobnie i feudalizm ma swoje metamorfozy, a ma ich więcej, bo jest formacyą starszą i trwalszą. Już w wiekach średnich stopniowo zmieniał fizyonomię; od pobierania czynszów w naturze przeszedł do czynszów w gotówce, później do gospodarki folwarcznej opartej na pańszczyźnie. W dalszym ciągu feudalizm, zabierając coraz więcej ziemi pod uprawę folwarczną, coraz więcej pańszczyzny wymagał, a dla zabezpieczenia sobie tej pańszczyzny, wolnego niegdyś chłopa strącił w poddaństwo. Później, przekroczywszy zenit swej potęgi, feudalizm musiał się wyrzec poddaństwa, a pańszczyznę napowrót na czynsze zmieniać zaczynał; potem zaś i te czynsze wraz z resztkami pańszczyzny istnieć przestały. Ale niemniej feudalizm pozostał feudalizmem, bo połowa ludności chłopskiej, jeśli nie większość, wciąż jeszcze pracuje na dziedzica; a i druga połowa mniej lub więcej zależną bywa od właściciela lasów. Feudalizm pozostał feudalizmem, bo dla krociowych zastępów ludności wiejskiej swoboda wyboru pracodawcy dotychczas istnieje prawnie tylko, ale nie faktycznie. Feudalizm pozostał feudalizmem, bo prywatna własność tysięcy morgów ziemi daje władzę nietylko nad siłą roboczą chłopów, ale nad całym ich bytem. A najwymowniej świadczy o tożsamości istoty feudalizmu niegdyś i dziś, że równie jak w wiekach średnich ludność miast rekrutowała się z chłopów, uciekających przed uciskiem szlacheckim, tak i dzisiaj szybko rosnąca ludność okręgów przemysłowych rekrutuje się w pierwszym rzędzie z przychodźców ze wsi, a ci wieśniacy pochodzą przedewszystkiem z takich okolic, gdzie przeważa wielka własność. Podczas więc, gdy przemysł kapitalistyczny, im bardziej jest skoncentrowany, tembardziej też koncentruje coraz nowe tłumy ludności w swoich ośrodkach, wielka własność ziemska naodwrót, im rozleglejsza, tembardziej wypycha ludność z opanowanych przez siebie okolic. Toteż, zamiast wzorem kapitalizmu przemysłowego rozpętać wolną konkurencyę sił roboczych, aby módz ku sobie przyciągać robotników chociażby z drugiego końca świata—wielka własność ziemska naodwrót dąży do skucia wieśniaków w pęta ograniczeń prawnych, aby im uniemożliwić ucieczkę. Od morza Niemieckiego aż po stepy węgierskie wszędzie widzimy tę samą tendencyę feudałów spółczesnych do zabezpieczenia się od braku rąk roboczych drakońskiemi ustawami wyjątko-

wemi przeciwko łamaniu kontraktu—innemi słowy, pozbawieniem wieśniaków wolności osobistej. Najpyszniejszy rozkwit tej tendencyi widzimy u naszych kochanych sąsiadów pruskich, którzy polskiego robotnika sezonowego wprost na niewolnika zdegradowali, ażeby już ani głód, ani obelgi, ani cięgi, ani kopnięcia nie mogły go skusić do zerwania umowy i oddalić na poszukiwanie bardziej ludzkiego pana.

Łatwo zrozumieć, że system produkcyi, zmuszony do imania się takich środków, nie może być bardzo wydajnym. Toteż wielka własność ziemska naogół skłonna jest do poprzestania na ekstensywnej gospodarce. Sprawia maszyny, aby zastąpić niemi uciekających robotników, ale intensywności uprawy nie zwiększa, bo na to trzeba robotników licznych a stałych, chętnych, inteligientnych i gorliwych — a więc właśnie takich robotników, jakich gospodarka folwarczna nie ma i naogół mieć nie może. Im większe rozmiary przyjmuje ucieczka sił roboczych ze wsi, tem mniej można ryzykować, tem niemożliwszym staje się istotny postęp rolniczy, który przecież właśnie na zwiększaniu intensywności polega. Stosunkowo więc do rozległości swoich ziem wielka własność jest ekonomicznie słaba. Toteż, podczas gdy przemysł kapitalistyczny, im bardziej się rozrasta, tembardziej okazuje wobec państwa dążność manczesterską, dążność do butnego odrzucania wszelkiej interwencyi rządowej, która mu tylko przeszkadza w zgarnianiu zysków, — naodwrót wielka własność ziemska, im bardziej się starzeje, tem bardziej zaczyna wzdychać do protekcyi rządowej: nietylko do coraz surowszych ustaw przeciw łamaniu kontraktu, ale także do ceł ochronnych, do premij wywozowych, do synekur. Ekonomiczne korzystanie z wpływów politycznych maskuje jałowość gospodarczą. W gruncie rzeczy potomstwo dawnych rycerzy i dzisiaj bardziej mieczem żyje, niż pługiem.

Ta linia rozwoju feudalizmu nie jest zresztą jedyna w historyi. Czasami bywało inaczej. Mianowicie i tak, że *primus inter pares* przestał być *par*, ale nie przestał być *primus*; rozmnażał tedy po kraju zastępy oficyalistów swoich. Ale i feudalizm w ten sposób przeistoczony nie przestał być feudalizmem.

Panowanie klasy feudalnej oddziaływa na społeczeństwo w sposób zasadniczo inny, i zarówno w dodatniem, jak w ujemnem znaczeniu zupełnie inaczej, niż panowanie klasy kapitalistycznej. Mówię: w dodatniem i ujemnem, bo niewątpliwie członek starodawnej klasy feudalnej jest czło-

wiekiem kulturalniejszym, a nawet wogóle bardziej człowiekiem, niż członek młodej, rosnącej dopiero klasy kapitalistycznej. Szlachcic jest bardziej człowiekiem od bogatego lichwiarza. Albowiem wierne piastowanie tradycyi, jakkolwiek przestarzałej, więcej wyrabia człowieczeństwo, aniżeli deptanie *wszelkiej* tradycyi. Ale tragizmem klasy feudalnej jest, że póki ta klasa panuje, to kultura jej nietylko się nie udziela ogółowi narodu, ale przeciwnie, wytwarza u ogółu ludności swój własny negatyw: wytwarza brak kultury, ciemnotę i zdziczenie u wszystkich nieuprzywilejowanych. A modernizacya feudalizmu, dostosowanie się jego do współżycia z rosnącym kapitalizmem tylko modyfikuje ten uwsteczniający wpływ feudalizmu na społeczeństwo, ale go nie znosi. Właśnie w tej późniejszej fazie feudalizm z konieczności musi ustawicznie wznawiać wysiłki, dążące do skrępowania tych warstw ludności, których zależność jest niezbędna dla jego bytu, a które coraz bardziej wymykają się z pod jego władzy. Tylko nad ciemną i bezradną masą panować może przywilej; tylko ludność, pozbawiona praw, trwa biernie w zależności od dworów szlacheckich, kiedy tuż obok wabi fabryka wyższym zarobkiem i swobodą życia prywatnego poza warsztatem. Aby więc módz istnieć tradycyjnym sposobem, klasa feudalna musi systematycznie uwsteczniać społeczeństwo; musi opóźniać rozwój przemysłu, hamować krzewienie niekrępowanej oświaty, a przedewszystkiem jak chwast wypleniać z dusz ludzkich pojęcie równości. Przyparta do muru, zniewolona do ustępstw, może od biedy takie lub owe prawa przyznać takiej lub owej kategoryi stanowej, mieszczaninowi, włościaninowi, żydowi, robotnikowi nawet, ale nigdy — człowiekowi. Od dworu szlacheckiego na całe społeczeństwo promienieje dążność do skucia człowieka w pęta hierarchii stanowej.

Póki feudalizm stanowi jedną z sił żywotnych w społeczeństwie, kapitalizm nigdy nie może dojść do całej pełni właściwego sobie rozwoju. Feudalizm go uwstecznia; podtrzymując porządki hierarchiczne, broni mu owej rozkiełznanej walki konkurencyjnej na śmierć i życie, walki, która dla kapitalizmu jest tem, czem dla rekina rozhukana burza morska, oddająca mu na łup wszelkie stworzenia słabsze i niedołężniejsze; a wzamian za tę swobodę hulania po rozpasanym żywiole, feudalizm ofiaruje kapitalizmowi — opiekę w granicach przywileju. Jestto zamknięcie rekina do akwaryum. Realny rekin w takich warunkach zdycha; rekin-kapitalizm wprawdzie nie zdycha, ale charleje i karleje.

Skuszony możliwością oparcia nawet ekonomicznie słabych przedsiebierstw na zamykaniu granic dla obcych towarów, na subwencyach, dostawach i tym podobnych zmodernizowanych formach przywileju, protegowany, a tem samem utrzymywany w sztucznej małoletności, kapitalizm nie dorasta do normalnej dla siebie siły ekonomicznej, nie potęguje wytwórczości z właściwą sobie niestrudzoną energią. A bardziej jeszcze kapitalizm gnuśnieje, jeśli feudalizm, traktując robotników fabrycznych narówni z fornalami, utrzymując ich w patryarchalnem posłuszeństwie wobec „pana fabryki", oszczędza w ten sposób kapitalizmowi zabiegów kompensowania coraz wyższych płac coraz doskonalszemi metodami technicznemi i umożliwia mu kompensowanie zastoju technicznego zastojem w stosunkach robotniczych. Gdyby w kraju jakimś ta uwsteczniająca tendencya stanowczo i bezwzględnie wzięła górę, to ostatecznym jej wynikiem byłby upadek kapitalizmu, podobnie jak w Polsce XVII wieku wyłącznie szlachecka polityka sejmu niemało się przyczyniła do upadku miast.

Na szczęście zazwyczaj dzieje się inaczej. Feudalizm opóźnia rozwój kapitalizmu, ale nie tamuje go całkiem. Prędzej czy później kapitalizm mężnieje i uświadamia sobie, że opieka feudalizmu jest dla niego nie dobrodziejstwem, tylko hamulcem. Pragnie tedy pozbyć się tej opieki i na swój własny obraz społeczeństwo odnowić. W początku nie starczy mu jeszcze sił na ciągłość w tej walce; stać go tylko na kurczowe porywy, po których szybko następuje rozprężenie i skrucha — przykładem tragikomicznej pamięci przesilenie 1848 roku w Niemczech, podówczas znacznie mniej uprzemysłowionych, niż dzisiaj Królestwo Polskie. Ale te porywy powtarzają się w coraz krótszych odstępach, aż w końcu miejsce ich zastępuje walka nieustanna i nieubłagana.

W chwili jednak, kiedy się rozpoczyna to ostateczne mierzenie sił kapitalizmu z feudalizmem, klasa feudalna i klasa kapitalistyczna już nie są same w społeczeństwie. Obok nich już samodzielną siłą stał się lud pracujący w mieście i na wsi, świadomie czy nieświadomie niosący w sobie zarodki przyszłego ustroju kolektywistycznego. Gdyby ta nowa siła już była całkiem zjednoczona i skrystalizowana, toby walka dwóch dawniejszych formacyj rychło się stała bezprzedmiotową. Tak jednak w tem stadyum jeszcze nie bywa, bo podwójny nacisk kapitalizmu i feudalizmu zbyt dotkliwie powstrzymuje rozwój warstw

ludowych. Natomiast w temże stadyum lud pracujący jest już dość silny, aby w walce między kapitalizmem a feudalizmem przechylić szale. Jeśli je przechyla na korzyść feudalizmu, to zabija swoją własną przyszłość; jeśli na korzyść kapitalizmu, to swojej własnej przyszłości drogę toruje.

Frazes więc ś. p. Schweitzera, bardzo zacnego skądinąd monarchisty pruskiego: że wobec stronnictwa proletaryatu wszystkie inne stronnictwa stanowią „jedną masę reakcyjną", jest wierutnym fałszem. Niezbędnym warunkiem zwycięstwa proletaryatu jest zespolenie proletaryatu z ogółem ludu pracującego; ale i lud pracujący nie zwycięży, zanim wprzód nie rozstrzygnie sporu między feudalizmem a kapitalizmem na korzyść kapitalizmu.

Walka przeciw feudalizmowi nie jest atoli i zgoła nie powinna być krucyatą przeciw członkom klasy feudalnej. Taka krucyata chybiłaby celu. Ciesząc się przez długie stulecia monopolem najpomyślniejszych warunków rozwoju, klasa feudalna nagromadziła drogocenne zasoby kultury i zdrowia rasowego. Nie chodzi o to, żeby te zasoby zniszczyć, tylko—żeby je uczynić użytecznymi dla ogółu narodu. A to się stać może jedynie przez zniesienie feudalizmu. Ostateczna więc porażka feudalizmu nie doprowadzi do zguby członków klasy feudalnej, lecz do wyzwolenia ich z zaklętego koła uprzywilejowanej jałowości.





MAMERT WIKSZEMSKI

Z „Asmodeusza"

Asmodeusz:

— Tam: niebios rozżarzonych złota nieskończoność —
Lazurowym pieszczoty spazmem załamana
Cała — na wiarę niebios — złota kurtyzana.
Widmo! Tęsknoto moja! Piękności szaloność!

Widmo:

— Dla ciebie złotych włosów rozplatam pragnienia,
Dla ciebie uwięziłam świat mój w kształt niewieści —
Twoim oczom, rozdartym głodem mojej treści,
Nagich objęć otwieram obłąkane mdlenia.

Otom blizna — twych dali zatracona saga,
Otom widna źrenicom twym — i cała naga —
Na wargi pragnień twych lejąca znojne blaski —

Pójdź! Jeśli posiąść zdołasz moją wieczność białą —
Otom twoja — a słowo rozwiązań dojrzało!
Pójdź... Czekam, drżę i pragnę... pełna cichej łaski...

*
*   *

Zielonoszarych oczu niepamięć źródlana —
Złote dna wyczerpania! Drażniąca ponęta
Zrodzona w piekle! W gwiazdach niebieskich poczęta
Cisza ust — złotym żarem pragnień całowana — —

Oaza warg wilgotnych i fatamorgana
Ponad nią purpurowej pieszczoty rozpięta — —
Biustu pożar mistyczny i z płomieni wzdęta
Dwojga piersi podwójna modlitwa różana — —

Ciało pełne tajemnic jak noc zwrotnikowa
Na oceanie — głucha, przepastna i gwiezdna — —
Blaski i mroczne gniazda opętanych sił — — —

Zagłada żądło ciche w twojem łonie chowa
A z twej nagości zieje czar bez granic — bez dna —
I jadem promienistym sączy się do żył.

* * *

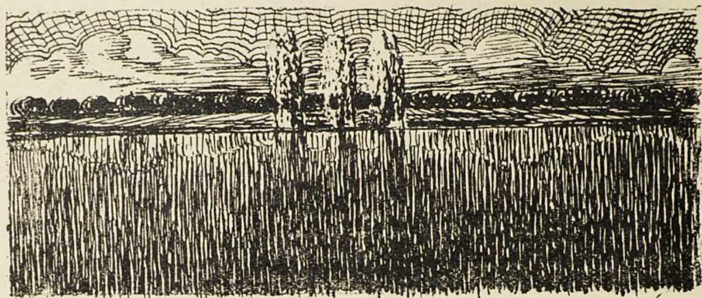
Wiem, że twe usta nie są już bez winy,
Że skaz już pełna twoja ciepła szyja
Od wargi, co się nieprzytomnie wpija.
Siostry rozpustne — twego snu godziny.

Wiem, jak nalała się przez chciwe zmysły
Senność twych bioder i leniwość łona.
Jak od całowań słońca ciężkie grona,
Tak od miłości piersi twoje zwisły.

Wiem, że w twem sercu szukałbym daremno —
Budząc krwi sennej obłąkany harem —
Jedynej kropli nieskażonej żarem.

Wiem: lecz na niebios zenicie nademną
Jak krzyż — słoneczny grzech twojego łona.
Na nim rozpięta — dusza moja kona.





WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

VII

— Puśćcie mię, gospodarzu... Muszę iść!

— Przed żniwami? Zwaryowałeś chłopie, czy co? Jeszcześ portek, któreś zdarł, nie odrobił...

— Wstydzilibyście się, gospodarzu, taki szmat łąki wykosiłem z wami!

— Czego się mam wstydzić?.. Niech się wstydzi, kto po świecie chodzi i cudzego pożąda, a ja swego pilnuję... Nie więcej jak sześć tygodni robisz — policz, ileś zarobił? Nawet na przykrycie nagości nie stanie... Półtora rubla! A swoją robotą mi oczu nie kol, boś się od miesiąca godził, a nie z morgi... Umowa grunt!.. A i to pomyśl, na Boga, skąd ja na twe miejsce teraz robotnika znajdę... hę!? Trzeba też mieć sumienie i gospodarza interes rozważyć... Po żniwach, co innego... Inna rozmowa... Policzymy się... Co komu kto winien, to mu odda, i pójdziesz sobie... Przeszkadzać nie będę, wędruj, skoro, ci znów rządowa łoza pachnie!...

Wiktor zrozumiał, że nic nie wskóra, i nie nastawał.

— Zemknie, warnak! Czuje dusza moja, że w najgorętszej chwili drapnie! Tacy oni! — zwierzał się gospodarz żonie... — Od tego listu chodzi jak senny... I robota nie ta... choć skarżyć się nie mogę... pilny... Ale tak każdy z nich: dobry, dobry, aż oszaleje... Co robić?..

I odpowiedź należytą sam Nikołce poludzku pisał... I przytakuję mu, zagaduję, jak mogę... Nic... Milczy, czasem uśmiechnie się tak, że żałość mnie samego za serce szarpnie!... Zczerniał chłop... Czy może ty mu dokuczasz za... nacyę?... Albo Natalka? Powiedz dziewce, żeby ani śmiała... ni, ni!...

— Gdzie zaś, człowieku! Kto mu się sprzeciwi, takiemu drągalowi! Coprawda, nie mam już dla niego tego serca, co dawniej... Zawszeć on heretyk... Ale...

— Dziękuj Bogu, kobieto, że nie żyd, a i żyda ścierpieć byśmy teraz musieli. I żyda byś w brodę pocałowała—co? nie? Przecie zboże po deszczu osypie się w mgnieniu oka... A polak, co? Dziś polak, a jutro prawosławny...

Gospodyni słuchała z widoczną ulgą i znowu się zmieniła w obejściu z robotnikiem. Znowu lepsze kęsy i sutsza omasta znalazły się po jego stronie na misie z jadłem, znowu w głosie kobiety zadrgały dziwne, głębokie, niezrozumiałe dla Wiktora tony. I choć wszystko to stawało się coraz wyraźniejszem, on nic tego nie dostrzegał, ogarnięty strasznym porywem tęsknoty, pochłonięty jedną jedyną myślą: być jaknajprędzej ze swymi, dzielić z nimi losy, opisane w liście.

Otwarcie odejść nie mógł. Od rozmowy z gospodarzem śledzono go czujnie i, aby zmusić go spać w podizbiu, zapełniono szopę po sam szczyt sianem.

Częste deszcze przedłużały żniwa.

Markotny nastrój zapanował na „zaimce".

Uciekł. W noc ciemną, wietrzną, wyszedł ostrożnie, licho odziany i bosy. Zanurzył się w bór ciemny, zbałwaniony, drgający od zimna, obmierzły od dżdżowej siepoty. Drogę do miasteczka znał dobrze, ale instynkt włóczęgi kazał mu iść bokami, bezdrożem. Dobrze zrobił, gdyż w mglistym świcie rychło usłyszał tętent za sobą i, przywarowawszy w jamie wykrotu, dostrzegł Stepanycza, pędzącego oklep na koniu z fuzyą na plecach. Widział zdala, jak wyjechał na rozstaje, jak zsiadł i długo badał ziemię oraz krzewy wokoło. Poczem chłop wracał wolno, rozgniewany, zapuszczając złe, przenikliwe oczy w pobocza puszczy.

Dwa dni szedł Wiktor do miasteczka bez przygód szczególnych. Wsie omijał.

Przed wejściem do „powiatu“ wyczekał zmierzchu.

Mieścina składała się z wielkiego zabłoconego placu, z którego wychodziło kilka uliczek, wiodących wprost w pole. Na środku placu czarna, wielka, jak góra, cerkiew odrzynała się kopulastemi wieżami wyraźnie na chmurnem niebie... Niedaleko majaczyła niejasno biała plama murowanego, piętrowego więzienia, upstrzona centkami ciemnych okien. Dokoła rozsypały się pokornie niskie, płaskie, niepozorne domki... Słabe, nieliczne światła nieśmiało migały w oknach.

Szumski stał na rozstaju i nasłuchywał. Pod parkanem, poufale pochylonym na ulicę, ktoś cłapał niezgrabnie, walcząc z deszczem i wichurą.

— Co to? Kto tu? Czego? — spytał lękliwie przechodzień, gdy Wiktor wynurzył się nagle z ciemności.

— Gdzie tu mieszkają „politycy“?

— A czego chcecie od nich?

— Mam interes... Przywiozłem na sprzedaż... Przysłano mię ze wsi...

Zaciął się, gdyż nie przygotował odpowiedzi zawczasu.

— To chodźcie za mną... — odrzekł nieznajomy życzliwiej.

Pocłapał dalej, co krok wpadając w kałuże wody, które usiłował wymijać.

— Pogoda!... A zboże i siano gniją! Jakże tam zbiory u was?

— Na pniu porastają...

— Znów głód... Lud nie dojada, a panowie tymczasem...

Zaczęła się leciuchna propaganda. Wiktor zrozumiał, że dobrze trafił, i nagła, szalona radość żywym, ciepłym strumieniem oblała mu piersi, serce, zziębnięte i wyczerpane członki. Cichy, niewstrzymany śmiech wyginał mu usta, okrąglił ścięte wichrem policzki, łaskotał mile wnętrzności. Tułacz szedł i milczał. Towarzysz tymczasem posuwał się chyżo w wywodach w kierunku programu rolnego. Był to czyściuchny program s.-d., najnowszego stempla, „bolszewickiej“ odmiany.

— Chcecie zabrać ziemię, bierzcie! Rozumie się, że bez żadnych wykupów. Ziemia boża!...

— Bez żadnego burżuazyjnego zawracania głosy... A czy wy sami macie ziemię? Czy dużo macie ziemi?...

— Nie, towarzyszu! Jestem wygnańcem. Uciekłem z Orlińskiego sioła...

Nieznajomy obrócił się z nerwowym giestem.

— Z Or-liń-skie-go sioła?! Z tak daleka? Jak się nazywacie?

— Szumski.

— Szumski... Szumski... Acha, coś sobie przypominam. — Pisano nam, ale myśmy myśleli, żeście już Bóg wie gdzie... Chodźcie prędzej, zmarzliście pewnie... To tu, tu... W tę bramę naprawo. Ale pozwólcie, że pójdę pierwszy, zobaczę, czy niema kogo obcego.

Skoczył na ganeczek pod filarki i znikł w sionce. Wiktor wycierał nogi na schodach i przysłuchywał się znanemu gwarowi za jasno oświetlonem oknem. Gwar nagle urwał się, następnie drzwi szeroko otwarły, buchając ciepłem i światłem...

— Chodźcie, chodźcie, towarzyszu!

Pokój niewielki, pełen tytuniowego dymu, lampa pod zielonym abażurem na stole... Szklanki i filiżanki z herbatą... Połamany i pokruszony chleb razowy... Książki, gazety... Twarze młode, oczy błyszczące z pod okularów i bez okularów... Czupryny gęste, rozkosznie rozwiane, lub ostrzyżone na wspaniałego jeża... Gdzieś w dali jaśniała nieśmiało łysina.

Obstąpili go, i pół tuzina rąk pompowało mu aż do omdlenia prawicę.

— Chcecie herbaty? Siadajcie tutaj! — zabrzmiał melodyjny głos kobiecy.

Wiktor ciężko usiadł i, całą potęgą woli opanowując wzburzenie, przytknął szczękające zęby do szklanki.

— Więc... Szumski? — spytała nagle łysina, siadając obok Wiktora na rogu stołu i wpatrując się badawczo w zbiega.—A do jakiej należycie partyi?

Wiktor z odcieniem dumy wymienił nazwę jednej z najpotężniejszych organizacyj politycznych.

Zapanowało chwilowe, niezrozumiałe dlań milczenie...

— Oho! A wiecie, że tam się u was coś psuje...

— Rozłam... Wiem napewno — wtrącił ktoś drugi.

— Co?...

Wiktor powstał mimowoli.

— Niepodobna!

— Dlaczego? To było do przewidzenia... Partya wasza nie ma

naukowych podstaw. Jest zlepkiem żywiołów... Drobne mieszczaństwo i robotnicy... Patryoci i socyaliści...

W miarę, jak mówili, Szumski bladł, i wąskie usta nikły mu całkowicie w półbolesnem, półwzgardliwem zacięciu.

— Ach, słyszałem już to... Więc to tylko domysł?

— Ależ nie, przejezdni mówili, i coś w tym sensie przemknęło w gazetach...

— A szczegóły, szczegóły?...

— Nie wiemy... Jutro odnajdziemy wam te gazety.

— Dlaczegóż was to tak boli? — zaczęła poważnie łysina.

— Różniczkowanie jest rezultatem wszelkiego wzrostu. Rewolucya, szczególniej proletaryacka, zaostrzająca klasowe sprzeciwieństwa...

Wiktor dotknął dłonią czoła i na króciuchną chwilkę zakrył nią oczy.

— Dajcie mu pokój, on zmęczony... — zauważyła łagodnie niewiasta. — Kto go weźmie na noc do siebie?

— Ja!... — zawołał wesoło młody, kędzierzawy blondyn. — Chodźcie, zaraz idziemy, bo potem trudno się do mnie dostać, psa spuszczają z łańcucha... trzeba stróża wołać. Nie trujcie się... Nic napewno niewiadomo. A te esdeki gotowe każdemu nalać atramentu do duszy. Krwi bo sami dużo nie mają. Wiadomo... Plućcie na nich, towarzyszu!

— Hola, hola! Bez zwrotów ludowych!

— Bywajcie zdrowi, zacni materyaliści, niech wam się sam kapitał przyśni!

— Złam nogę, idealisto...

— Albo lepiej jeszcze zgub kalosze...

— A przygotujcie jutro dla towarzysza możliwie dużo objektywnych przejawów waszego subjektywnego uświadomienia... Każdy po sztuce... Widzicie, w jakich paraduje proletaryackich cnotach?... A ja: omnia mea mecum porto!..

— Weźcie tymczasem mój pled — mówiła niewiasta, zarzucając na Wiktora chustę.

— Nie bierzcie, gdyż jest to zarazem jedyna kołdra tej oto mieńszewiczki... Przykryjecie się moim eserowskim kożuchem.

Odurzony Wiktor dziękował, brał, zwracał, uśmiechał się. Ale uśmiechy, słowa i czyny jego sprawiały wrażenie męczącej larwy, ru-

chliwej, powierzchownej skorupy, pod którą znagła stężały w twardą bryłę bezdenna boleść i smutek.

VIII

— Hej! Gołąbeczku chyżoskrzydły! Nieś! Wal! Rwii-i-ij!... Huu-u-u.... hee-e! — wykrzykiwał od czasu do czasu woźnica. Śmigał krótką nahajką, pochylał nisko przed siebie dziko wykrzywioną twarz i ręce z podebranemi lejcami wyciągał możliwie daleko nad zadami koni. Te przysiadały jak płomień, uderzony wichrem, następnie podchwytywały i, grając kopytami po ubitym szlaku, leciały w zapamiętaniu, ile stało tchu.

Chryple rechotało, nikło nieledwie w ogólnym tumulcie oszalałe szczękanie podróżnych dzwonków i janczarów uprzęży. Koła furczały jak piły tartaku, tnące powietrze. Wóz jęczał i postękiwał na wybojach. Obłok kurzawy rwał się i pozostawał daleko w tyle. Jeno wielki, czarny, roztrzęsiony cień biegł narówni z unoszonym pojazdem w blaskach słońca po bladej wstędze drogi. Z budy tarantasu wyglądali wtedy wesoło Wiktor i kędzierzawy eser.

— Śmigaj, chłopcze! Nie pożałujesz!

Wlatywali tak na każdą górę, bo tak każe sybirski obyczaj, i zjeżdżali tak z każdej góry, bo... lekko.

Nieraz na zakręcie tylne koła wyfruwały poza krawędź siwej przepaści; nieraz z przerażeniem spostrzegali tuż przed wyciągniętymi pyskami koni urwisty brzeg i błękitną toń rozlanego pod górą jeziora. Lecz nim zdołali krzyknąć, już zuchwały woźnica, oparłszy na hołoblach nogi i wygiąwszy się w tył łukiem na koźle, osaczał rozhukane rumaki.

— A co? Gieneralska jazda?! Takeśmy tu na Syberyi wszędzie jeździli, zanim przeszła ta przeklęta kobyła żelazna... A wy pewnie na nią się śpieszycie?

— Na nią. Albo co?

— A bo to, jeżeli chcecie miasto ominąć, to tu będzie bliżej kupieckim traktem na Telecką stacyę... I po co pocztą? my za tańsze pieniądze niegorzej was powieziemy... od przyjaciela do przyjaciela.

— Wal kupieckim traktem!

Mieli paszporty, rewolwery, przyzwoite ubranie i po kilkadziesiąt rubli w kieszeni.

— Bodaj to organizacya! Z piasku bicz kręci!

Wyboistym „kupieckim" pojechali o wiele wolniej. I wioski tu były rzadziej i mniej przejezdnych. Wyrąb drogi, niby wąska rysa, roztrącał czarne połacie puszcz. Czasem wśród nich rozwierał się widok na słoneczny łęg, niby uśmiech pełen kwiecia i zielonej jasności.

Eser zeskakiwał wtedy z tarantasu i biegł jak oszalały w sam gąszcz wysokiej trawy, gdzie, niby niezliczone płomienie, czerwieniły się kielichy „sorany", gdzie fioletowe irysy sybirskie siały swój zapach cudowny, gdzie pałał przejmujący „żarkoj" — kwiat miłości do granatu podobny, gdzie szlaki gwiazdzistych rumianków wyszywały swe złociste wzory, gdzie chmurki liliowych dzwonków i błękitna mgła niezabudek naśladowały niebios odbicie...

Po długich wołaniach wracał dopiero młodzieniec, obładowany kwieciem, nurzając w ich kielichach twarz młodą, rumianą, złotowłosą, błękitnooką, jak one, i wesołą, jak pieszczący je promień słońca.

Jechali dzień i noc, śpiąc w wozie na sianie.

Ale raz woźnica nie chciał ich wieźć dalej po północku.

— Warnaki... włóczą się! — objaśnił niechętnie.

— Widzieliśmy ich dosyć na drodze, nie zaczepiali nas...

— Ale tutaj co innego... tutaj... zbytkują!.. — przekładał im mrukliwie.

Wiktor, któremu nie podobał się ani posępny „przyjaciel", ani uboga i odrapana jego stancyjka, nastawał.

— Jedziemy. Nie twoja rzecz, co nam zrobią... Nie boimy się, mamy broń!..

— A jakże: nie moja rzecz!? Niby to oni mi popuszczą... Tu komisya ma zjechać. Jutro albo pojutrze z powodu ich rozbojów...

— Jak chcesz. My kogo innego poszukamy. Musimy jechać.

Chłop skrobał się w głowę.

— Jak chcecie — mruczał — ale ja ostrzegałem... Jechać, to jechać. A ile dodacie?

Umówili się co do dodatku. Wtedy znikł, i, zanim napili się herbaty, już zaprzężony tarantas stał przed ganeczkiem.

Noc cudna, przejrzysta i świeża, gwiaździstym, połyskliwym puklerzem ocieniała ziemię. Tylko w Syberyi i na wysokich górach

gwiazdy jarzą się tak jasno, rozszczepią swawolnie na pęki promieni, migocą, mienią się jak drogie kamienie niezrównanego dyademu. Wysoko, ale poniżej gwiazd, dwa widma białych obłoczków płynęły leciuchno w niewiadomą dal.

Eser, półleżąc w wózku obok Wiktora, zaśpiewał nagle pełnym głosem:

Chmurki niebieskie
Tułaczki wieczne...

Woźnica obejrzał się i gniewnie zaciął konie.

— Dalibyście, panie, ze śpiewaniem spokój... Ech!

— A co?

— Nie miejsce, nie miejsce! — mruczał i konie niecierpliwie popędzał.

— Boicie się? — roześmiał się młodzieniec.

Usiadł i patrzał rozmarzonemi oczami na ciemne, ciche, pachnące bory, w których turkot wozu i stuk kopyt końskich ginął bez echa, niby szmer biegnącej przez pole myszy. Wtem dostrzegł w dali migocący dziwacznie drobny, czerwony jak iskierka ogieniek. Już go z oczu nie spuszczał. W miarę, jak zbliżali się, ogieniek rósł, przybierał fantastyczne kształty, wreszcie łypnął szeroką łuną aż na drogę i podniebie. Nawet Wiktor podniósł się. U wielkiego stosu ognia stały dwie brodate postacie w łachmanach, oparte na sękatych drągach.

— A co to?

— Stróża!.. Pilnują ciała zabitego! — mruknął woźnica, wskazując głową na długi ciemny przedmiot, majaczący na kresach światłości.

Chłopi — radzi przejezdnym — poprosili natychmiast o tytoń.

— Swój to wykurzyliśmy, a cni się...

Zwijali papier w tutki i gawędzili z woźnicą.

— Jedziesz?

— Jadę...

— Rozpaczliwy jesteś chłop!..

— Płacą. Rubla dodali... „Rewolwerty“ mają...

— Abo tamci nie mają! Ech, człowieku...

— Wrócilibyście się, panowie, póki czas... Po dniu pojedziecie spokojnie! — zagadał jeden z nich do młodzieńców.

— Policya przyjedzie... obławę urządzi... to potem tu będzie jak w Peterburku... Śpiąc, przejedziecie bezpiecznie nie dalej, jak do następnego przegonu... A tam znowu komisya — drwił drugi.

— My właśnie swego „boja" na tamten przegon chowamy! — żartował Wiktor.

— A to jedźcie z Bogiem!... Ale w jarze podwiązałbyś, Romanie, dzwonki, na wszelki wypadek.

— Ano wiem.

Znów głucho zastukały kopyta i zaturkotały koła po zacienionej borami drodze. Pod górą, która jak brzydki garb, najeżony lasem, wzdymała się do połowy nieba, woźnica zatrzymał się, dał koniom wytchnąć, odpiął brzękadła i podwiązał dzwonki. Noga za nogą, cicho, jakby skradając się, wjeżdżali na przełęcz po piaszczystem zboczu. Chłop szedł obok wozu, Wiktor z towarzyszem również wysiedli. Górą, szczytami drzew, przelatywały ciche poszumy, jakgdyby dreszcze — czasem koń parsknął, czasem kute kopyto ostro stuknęło o korzeń lub skrzesało iskry o porzucony na drodze kamień...

— Dzięki Bogu, świta — szepnął woźnica, gdy stanęli na szczycie. — Teraz siadajcie i trzymajcie się...

Poprawił szleje na koniach, wytarł im mordy, przysiadł na rogu wasągu, podebrał lejce, krzyknął i jak burza spadł po stromej drodze w błękitniejący jar. Zanurzyli się w siwe, zimne opary, w których czerniały kosmate sylwetki drzew, a z pod których przebłyskiwały blade mokradła. Wielkie, czochrate kępy wpełzały nieledwie na wąską drogę, gdzieniegdzie ogaconą przegniłym chrustem. Trzciny i niskie sitowia oramiały zamulone rowy.

— Zatracone miejsce! Ani zawrócić, ani uniknąć spotkania!... Jedyne do ukrycia w trzęsawiskach wszelkiej zbrodni.

Pędzili wskok, choć wóz podskakiwał na wybojach, jak gumowa piłka. Przebyli z impetem rzeczułkę, rozbryzgując wysoko błotnistą wodę, i znów znaleźli się przed górzystym garbem, porosłym gęstą sośniną. Było tak stromo, że konie rychło zasapały się i zwolniły biegu. Chłop znów zeskoczył z kozła i, idąc obok, ponukał je nerwowo...

Świt już nadobre zarumienił niebo.

— No, najgorsze tośmy już przebyli; teraz można i zakurzyć!.. — rzekł Roman wesoło, gdy wdrapali się wreszcie na przełęcz. — Stąd do promu już niedaleko, a za przewozem—wieś...

Zanim spuścili się z ostatniego zjazdu, wzeszło słońce i zagrało złocistym słupem w bystrej, błękitnoszarej rzece. Ale u samego promu, gdy byli już zupełnie spokojni, nagle rozległo się za nimi przeciągłe gwizdnięcie, i z nadrzecznej trawy uniosło się kilka figur ludzkich...

— Oni!..—szepnął przejmującym głosem woźnica i konie ściągnął.

— Jedź! Czego stajesz? — krzyknął Wiktor.

Nieznajomi nie ruszali się i pozwolili im podjechać do samego przewozowego pomostu. Prom był z tamtej strony uwiązany u przystani, nad którą na urwisku wisiał mały domek. Wszystko tam spało głęboko, bielały zawarte drzwi, martwo sterczał komin bezdymny, zamknięte okno lśniło w słońcu, jak blacha z miedzi.

— Wołaj na prom!

— Ho! ho... hoho! Przewóz!—drżącym tenorem zajęczał Roman.

— Ho! ho! hoho!

— Pilno wam?... nie śpieszcie się... panowie!... Poczekacie!... Tu można człowieka zabić i pochować, zanim tam się ruszą... Tu takie obyczaje! Prawdę mówię...

— A skąd jedziecie? — ozwał się tuż blisko chrypławy głos, i siwy brodaty oberwus położył łokcie na drążkach tarantasu. Wiktor spojrzał bystro na niego.

— Wasylicz!

Włóczęga cofnął się cokolwiek, i twarz mu poczerwieniała.

— Ignac!... A to spotkanie! Powodzi ci się, widzę, tak... uchasz...

— A tobie jak się wiedzie? Daleko jednak zaszedłeś...

— Ano wie-dzie-się... — przeciągnął stary. — A co, czy nie zgadłem odrazu, coś ty za ptak?! Starego włóczęgi nie oszukasz...

— Krzycz, krzycz... na przewóz! — upominał Wiktor zbaraniałego woźnicę... — Poczekaj, strzelę, może prędzej usłyszą...

Szybko wyciągnął rewolwer i wypalił w powietrze.

Włóczędzy, którzy, stropieni rozmową, zbliżali się ciekawie do pojazdu, zatrzymali się na chwilkę.

— Co się śpieszysz — ciągnął Wasylicz, jakgdyby nic, — myślałem, że się z nami podawnemu herbaty napijesz?!

— Nie mam czasu, bracie... Pilne interesy. A wam pewnie niepilno... Przecież już raz musiałem cię dla pośpiechu porzucić... — uśmiechnął się Wiktor.

— Chwackoś nas urządził... Tylkoś niepotrzebnie koszuli mojej nie wziął... jabym wziął...

— No... bo twoja inna wiara... A chcesz, to cię podwiozę.

Wasylicz zamyślił się.

— Nie, nie mogę... Ja, widzisz, nie sam tu jestem. I po co?... Wcześniej, później... dalej, bliżej!... jednaki mój koniec... Daj trzy ruble na przepicie dla chłopaków i zabierz nas na prom... Już płynie... Widzicie ich, myślą pewnie, że japońcy... tak się pośpieszyli... — zwrócił się do towarzyszy, którzy z powagą i uszanowaniem przyglądali się wysokiej figurze Wiktora. Es-er też im się ciekawie przyglądał, nie wyjmując ręki z kieszeni, gdzie miał rewolwer.

Już na drugim brzegu Wiktor, płacąc za przewóz, dał pięć rubli Wasyliczowi, ale ręki mu nie uścisnął, choć ten zrobił ku niemu ruch. Łuna krwi opłynęła grubą szyję i obwisłe policzki włóczęgi.

— Dziękuję ci, stary, żeś mnie nakarmił...

— Niech ci służy na zdrowie! — odrzekł krótko.

— Może się kiedy jeszcze spotkamy...

— Ech, lepiej... nie!

— Bywajcie zdrowi!

— Jedź szczęśliwie i kłaniaj się od nas macierzy rodzonej — Rossiei... — odpowiedzieli chórem oberwańcy.

— A to przygoda!... — mruczał woźnica, nawracając do wsi.

Włóczędzy skręcili w bok i znikli w gęstwinie.

DCN





JAN LEMAŃSKI

Piskórz mądrala

(spolszczenie bajki Szczedryna)

Żył sobie piskórz. Miał ojca mądrego i matkę mądrą: ciszkiem chyłkiem, powolutku dożyli w rzece lat matuzalowych, nie bywszy ani w kotle, ani w szczupaczych jelitach zwarzeni, w połowicy dni swoich. To również zapowiedzieli synowi. „Pamiętaj, synku, mówił piskórz sędziwy, umierając: — chcesz-li zdrów żywota kosztować — czuj duch!“

A młody piskórz był mądrala nie w ciemię bity. Jak zaczął rozumem dochodzić, tak wymędrkował: kędy się obróci, wszędy śmierć chyha. Naokoło w wodzie pływają ryby same większe, on zaś — najmniejszy; każda może go połknąć, a on nie może połknąć żadnej, i nie pojmuje, po co koniecznie łykać? Rak może go szczypcami przepołowić; kleszcz wodny może mu przypiąć się do grzbietu i na śmierć zanękać. Nawet i swoi piskorze, bracia — nawet i ci, niechno zobaczą, że złowił komara, wnet rzucą się hurmem i odbiorą. Odbiorą komara i wadzą się o niego, aż daremnie go na szczątki roztarmoszą.

A człowiek? — cóż to za gadzina! ileż to on obmyślił zdrad, dybiących na jego piskorzowe zdrowie! — i więcierze, i sieci, i saki,

i kłomnie i, nareszcie—wędkę! Zdawałoby się, że niemasz nic głupszego nad wędkę. Ot, sznurek, na sznurku haczyk, na haczyku wkłuty robak lub mucha... I to jeszcze jak wkłute?... w położeniu rzec można najopaczniejszem! Tymczasem na wędkę właśnie piskórz zazwyczaj się poławia.

Rodzic niejednokrotnie go przestrzegał. „Osobliwie — mawiał — strzeż się wędki! Głupie to narzędzie, bo głupie, wszakoż ci na nas, piskorze, to lepsze, co głupsze. Rzucają nam muchę, niby to dla przymilenia, wrażasz w nią ząb ufający — aż tu w musze śmierć!“ Również bajał staruszek i o tem, jak to on pewnego razu, tylko—tylko co nie utrafił do kotła. Łowiono podówczas gromadnie, zgonem. Rozpostarto sieć wpoprzek rzeki do dna i wleczono tak przez wiele stajań. Nałapało się ryb coniemiara: i szczupaków, i okoni, i płotek, i ślizów,— nawet lin ospaluch w ile się nie osiedział. A piskorzy toś miał bez liku. Ileż to on, stary piskórz, najadł się strachu, podczas ciągnienia sieci, tegoby na karpiowej skórze nie spisał. Czuje, że go wloką, a dokąd — sam nie wie. Widzi obok siebie z jednej strony szczupaka, z drugiej — okonia; już-już — czeka—nie ten, to ten go napocznie, owi zaś ani myślą... „Wonczas, bratku, i o jedzeniuś zapomniał“. Wszystkich zaprząta myśl jedyna — śmierć nadchodzi, a czemu nadchodzi? skąd? co? jak? — niewiadomo. W końcu zemknęli skrzydła sieci, wyciągnęli ją na brzeg i zaczęli wygartywać ryby z matni na murawę. Owóż wtedy się o kotle dowiedział. Buzuje się na piasku coś czerwonego, dymi ku górze szaremi chmurami, i żar od tego aż dusi. Niedość, że brak wody przyczynia nudności, ten jeszcze, na dobitkę, znój — „ognisko“, powiadają. Na onem ognisku czerni się jakiś kadłub wypękły, a w nim bałwani się woda, jak na jeziorze podczas burzy — „kocieł“, powiadają. Naostatek poczęli wołać: sypta ano do kotła — będzie srogie jadło! I zaczęli nas sypać. Co którą smyrgnie rybak, to ta zanurzy się, potem, jak obłędna, wychynie, znów się zanurzy — i uspokoi; to znaczy, że zasmakowała w kotle. Sypali naprzód bez wyboru; potem jakiś starowina dojrzał go i rzecze:

„Kiepska obrada dla gęby z takiej okruchy, porośnij jeszcze, maciupki!“—Ujął go pod skrzele i z zamachem puścił do wody, do rodzimej. On zasie, ile że nie fryc, margnął jeno ogonkiem, aż się zakotłowało, i dał nura. Przybieżał do siedziby, gdzie piskorzyna, oniemiała z trwogi, wygląda powrotu synaczka.

Ale cóż to z tego? Darmo stary nauczał wtedy, co to jest kocieł i na czem się gruntuje; do dziś dnia nie masz w rzece roztropnego w tej mierze poglądu.

Jedynie piskórz mądrala wraził sobie w pamięć nauki ojcowskie i zadecydował: czuj duch! inaczej zginiesz, aniś się obejrzał. Tak sobie postanowił i zaczął żyć w myśl tego przekonania.

Pierwsza rzecz — wykoncypował sobie norę taką, iżby jemu samemu była tylko dostępna, i nikt inny żeby się nie mógł do niej wcisnąć. Dłubał ją ryjem calutki rok. A któż opisze, ilu to on strachom w oczy musiał zazierać przez czas nocnych kocołowań bądź w kępie tataraku, bądź w gęstwie sitowia, bądź wreszcie pod liśćmi grzybienia. — Nareszcie ją wydłubał. Wąsko, szczupło, ciasno mu było, ale czyściutko, schludnie, aż miło — w sam raz dla niego! To jedno. Powtóre, co się tyczy urządzenia życia — tak sobie rozważył: w nocy, kiedy człowiek, bydlęta, ptactwo i ryby śpią, on ruchu używać będzie, a we dnie — zalegać w norze i dygotać. Wszelakoż wziąwszy pod uwagę, iż, bądźcobądź, żerować nieodzownie musi, a żołdu nie pobiera i służby nie utrzymuje, przeto stanowi: w południe, kiedy wszelka ryba jest po obiedzie, z nory się wymykać i dziobnąć owad jakowy, jeżeli da się, a jeżeli się nie da — zapadać w norze na głodno i na głodno dygotać. Bo jużci lepsza nie jeść i nie pić, aniżeli, brzuch jadłem napchawszy, dać śmierci gardło.

I tak też sobie poczynał. W nocy zażywał ruchu, od miesięcznej światłości brał kąpiel, a w dzień zapadał w norę i dygotał; tylko w południe się wymykał coś—niecoś uszczknąć. Ale w południe czem tu się pożywisz? W południe znajdziesz tyle co nic: wtedy i komar z gorąca pod liść umyka i robaczek chroni się pod korę. Więc złopnie kapkę wody — i po bankiecie!

Siedzi piskórz mądrala w norze po całych dniach, nocy nie dosypia, kęsa nie dojada i wciąż myśli: „zdaje się, żem żyw, ach, co też to będzie jutro?“

Lubo czujny duchem, czasami zaśpi — któż bo wolen grzechu? — a wtedy śni mu się, że dostał premiową pożyczkę i wygrał na nią dwieście tysięcy. Zachwycony, przewraca się na drugi bok, aż tu — patrzy — wyścibiło mu się z nory calutkie pół ryja. No, niechby tak szczur to spostrzegł! ani chybi — z nory by go wywlókł.

Razu pewnego ocknął się i cóż widzi? Oto przy norze tuż-tuż stoi rak. Stoi nieruchomy, jak zaklęty, i oczy wybałuszył, jak paciorki, tylko mu wąsy prąd wody poruchiwa. Toż mu stracha napędził, napędził. Do samego zmierzchu rak ów czatował na niego, a on tymczasem wciąż dygotał, wciąż dygotał.

Innym razem, zaledwie zdążył wrócić do nory przed świtaniem, zaledwie ziewnął w przedsmaku słodyczy sennej: aliści, ni stąd, ni zowąd, przed samą norą zjawił się szczupak i zębiskami kłapie. I ten także cały dzień trzymał wartę, rzekłbyś, sam widok pastwy go nasycał. Ale mądrala i tego okpił: nie wyszedł z nory—i basta!

Takowe rzeczy zdarzały się nie raz i nie dwa, ale, bodaj, codziennie. I codzień mądrala, dygocąc, przewagi i zwycięstwa odnosił, i codzień wygłaszał: „otom żyw, dzięki Bogu!"

Atoli, pośród tych borykań frasobliwych, i żeniaczki poniechał i dzieci nie miał, acz ojciec jego niepłonne w tym względzie poczynił był zabiegi. W obliczu własnej roztropności te sobie wyłuszczał powody: „Ojciec nie miał na co utyskiwać, za jego czasów i szczupak był mniej chciwożerny, i okoń nie tyle łapczywy na drobne piskorstwo. W kotle, dajmy na to, był na włos od przygody, to prawda: wszakoż i tu znalazł się dziadyga, co go z owych terminów wybawił. Obecnie zaś, po wyrybieniu rzek, nawet i piskorze są poszukiwane. Gdzież tu myśleć o rodzinie? dobrze, jeśli się samemu wyżyje!"

Owóż, takim trybem piskórz mądrala dożył stu lat z okładem. Wciąż dygotał i dygotał, ni przyjaciół nie miawszy, ni krewnych; ani on z nikim, ani z nim nikt. W karty nie gra, trunków nie pija, nie dali, do dziewcząt się nie umizga — jeno dygoce a medytuje, myśląc: „jakoś się i żyje, Bogu dzięki!"

Wostatku nawet szczupaki zaczęły go chwalić: „ot, gdyby wszyscy tak żyli, byłby w rzece spokój. A mówiły to umyślnie: nuż, wbity w ambit pochwałą, wyjrzy na popis — jam jest! a wtedy go— ot i łomot!

Lecz i na taki figiel mądrala wziąć się nie dał i ponownie knowania wrogów udaremnił.

Ile lat przeszło po owych stu latach, niewiadomo; dość, że nadeszła ostatnia chwila. Leży w norze piskorz mądrala i duma: Bogu dzięki, umiera śmiercią własną, jako ojciec z matką pomarli. I zaga-

dały mu w pamięci szczupacze słowa: „ot, gdyby wszyscy tak żyli, jak on“... A w samej rzeczy, dalibóg warto się zastanowić — coby to było?

Bezzwłocznie pobiegł po rozum do głowy, i zagaił rozpamiętywanie. Wtem coś mu szepnęło: „a wszakci tym sposobem ród piskorzy dawnoby zaginął!“ Albowiem dla zachowania gatunku piskorza niezbędną jest rodzina, której on nie ma właśnie. Niekoniec na tem. Ażeby rodzinie piskorza zapewnić żywotność i rozrost, ażeby członkowie jej byli zdrowi i rzeźcy: trzeba, iżby wychowywali się w żywiole rodzimym, nie zaś w norze, w której on sam od wieczystej pomroki ociemniał; trzeba, żeby piskorze odżywiały się dostatnio, żeby cnót przykład sobie dawały, tudzież inszej zacności żeby sobie nawzajem udzielały. Bo, zaprawdę, jeno taki żywot mocen ród piskorzy doskonalić, nie pozwalając mu, owszem, znikczemnieć i zwyrodnić się do podłostanu lada oklejki.

Mylą się poplecznicy twierdzenia, jakoby należało uważać za prawych obywateli tych jedynie, którzy, strachem obłędni, siedzą po norach i dygocą. Zaiste, nie sąć to obywatele, ale, co najmniej, nicponie. Nikogo one nie grzeją, ani ziębią; nikomu nie przyczynią honoru, ani bezecności; nikomu sławy nie przysporzą, ani kogo zniesławią: — ot żyją po próżnicy, miejsce zaprzątają i żywność marnują daremnie.

Piskorzowi unaoczniło się to wszystko do tego stopnia wyraźnie, iż raptem ogarnęła go niezmożona chętka: „ej, wylezę z nory i prysnę w rzekę po junacku!“ Zaledwie to pomyślał, już czuje na ramieniu duszę wylękłą. Niebawem zaczął dygotać i mieć się ku skonaniu. Przedygotał, żyjąc, i, konając—dygoce.

Jak błyskawica mignął mu szereg lat minionych. Jakież były jego uciechy? komu łzy otarł? komu dał zbawienną radę? komu powiedział rzecz miłą? komu dał przytułek, pociechę, obronę? kto wspomni o jego istnieniu?...

Na te wszystkie pytania nasuwała mu się jedna odpowiedź: — nikomu, nikt. Żył piskórz i dygotał — ot i cała historya. Teraz nawet wziąwszy: śmierć tuż-tuż, a on drży i sam nie wie—czego? W norze mu ciemno, ciasno, niema się gdzie ruszyć, promień słońca tu nie zaglądnie i ciepłem tu nie powionie. I leży piskórz w wilgotnem upowiciu, oślepły, znękany, nikt się oń nie zatroska... Leży i czeka—kiedyż wreszcie głodowa śmierć wyzwoli go nadobre z bezowocnego istnienia?

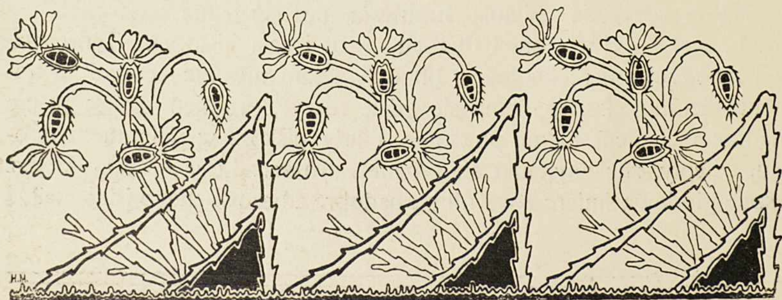
Słyszy, że obok nory pluszczą ryby jakoweś, może nawet bliźnie mu piskorze, ale żaden nim się nie zajmuje. Żadnemu nie przyjdzie na myśl zapytać mądrali: jakim on cudem przeżył sto lat z okładem, ani od szczupaka nie połknięty, ani szczypcami raka nie przebodzon, ani na wędkę pojman? Płyną sobie dalej, może zgoła nie wiedząc, iż w tej tu norze piskórz mądrala zamyka z życiem rachunki!

Ale mniejsza. Co mu najbardziej doskwiera, to przeświadczenie, iż nie słychać, żeby ktokolwiek nazywał go mądrym. Wręcz mówią: słyszeliście też o bałwanie, co nie je, nie pije, z nikim się nie brata, z nikim nie widuje, tylko wciąż ochrania swój żywot marny? Wielu nazywa go bez ogródek samotnym idyotą, dziwując się, że woda znosi podobnych — uczciwszy uszy — gudłajów.

Tak to medytował on sobie i drzemał, a raczej — już się zapamiętywał. Zalały mu uszy jakieś szeptania przedśmiertne, ogarnął drętwy chłód znużenia, chwyciły skonu paraliże, i sfrunął mu po raz ostatni niby z pożegnaniem, ów senułudny: śni mu się, że wygrał dwieście tysięcy, że zolbrzymiał na trzy piędzi, i że sam łyka szczupaki.

Śni mu się, tymczasem jego mordka ciszkiem, chyłkiem, powolutku — wyjrzała z nory całkowicie.

I nagle przepadł. Jak się to stało? czy go szczupak połknął? czy rak szczypcami przekrajał? czy własną śmiercią zdechł i wypłynął na powierzchnię? — niemasz, ktoby dał o tem świadectwo. Najniezawodniej zmarło mu się własną śmiercią, ile że dla szczupaka licha gratka — piskórz schorzały, wycieńczony, umierający i do tego — mądrala.



WIKTOR DZIERŻANOWSKI

Słowo...

Dźwięczy mi w uszach słowo
Muzyki rajskiej tonem,
Melodyą sfer echową,
Czemś tajnem, niezgłębionem...

Czy w czarną noc wichrową,
Czy w rośny świt zarania,
Nad moją krążąc głową,
Tęskliwą pieśń wydzwania...

To w surmę dmie bojową,
To do snu myśl układa,
I budzi mnie nanowo,
Nim jutrznia błyśnie blada...

I z ludzkich tchnień osnową
I z szmerem liści w lesie,
Odwieczną treść sfinksową
Do uszu moich niesie...

Muzyki dziwnej tonem,
Melodyą sfer echową,
Czemś tajnem, niezgłębionem,
Wciąż dźwięczy mi to słowo...

Wiklina

Jak wróg w stalowej zbroi, zwarty w zastęp siny,
Ciągnie olbrzymia chmura, do szturmu gotowa —
Cisza — zda się, że w piersiach zamierają słowa —
Że cień śmiertelnej trwogi napełnia doliny...

W oczekiwaniu niemem złowrogiej nowiny,
Ziemia energię całą skupia w sobie, chowa,
Wtem, jakby wichrów z chmurą nastąpiła zmowa,
Drgnął liść dziko rosnącej na łące wikliny...

A za nim drgnęły inne — Wiatr zadął pochwili,
I nagle krzak rozpacznie ku ziemi się chyli,
Pogrąża się w murawie, wyciąga, wygina,
Jakby dlań już ostatnia wybiła godzina...

Zapomniałem, wsłuchując się w wichrów skowyty,
Że wielka burza — wielkie tylko łamie byty...

LESZEK WÓJCIK

* * *

A kto napawa mętami bagniska
Usta spragnione ożywczej ochłody —
Nie ujrzy nigdy źródła żywej wody,
Co dla wybranych z skał Cierpienia tryska...
Zaś który tłumi w sobie jęk cierpienia
I czeka cudu Mojżeszowej mocy —
Skwar dnia przeczeka, a śród ciemnej nocy
Cudu nie dojrzy i umrze z pragnienia.





ELIGIUSZ NIEWIADOMSKI

O polskiej sztuce stosowanej

i jej przyjęciu w Warszawie

Nie chcę tu pisać *sprawozdania*, nie mam zamiaru rozprawiać o wartości pojedyńczych sprzętów czy druków, które były wystawione. Pragnę ująć rzecz ze stanowiska ogólnego.

Dotychczas na wystawach naszych królowały *obrazy* — ewentualnie rzeźby. W ciągu dziesiątków lat wymalowano tysiące obrazów, obrazków i obrazideł, nikomu niepotrzebnych, przyjętych albo nieprzyjętych do Zachęty, — kupionych do rozlosowania albo zwróconych autorom.

Publiczność wychowywana w ten sposób — rozumiała, że sztuka tkwi tylko w rzeźbach i malowidłach („ręcznych...“). Że te wyrazy to są synonimy *sztuki*. Że napatrzyć się jej można tylko na wystawie, dokąd oczywiśnie chodziła raz na miesiąc w niedzielę — po nabożeństwie — za opłatą tylu a tylu kopiejek od osoby. Po obejrzeniu wszystkich obrazów i przeczytaniu wszystkich podpisów — wracała do domu, i o sztuce przez cały miesiąc ani dudu.

Artyści byli tak dalece przejęci kapłaństwem swej misyi, że byliby się czuli dotknięci w najczulszem miejscu, gdyby im kto zaproponował skomponować np. okładkę do książki, albo wzór do tkaniny. Takie rzeczy uważano za zniewagę dziewictwa. „Mistrze pędzla“ czuli się powołanymi do szczytniejszych zadań.

Trwało to lata: dziesiątki lat.

Dopiero w ostatnich czasach coś się popsuło w państwie duńskiem.

Kilku „narwańcom" — w dodatku — *obcym* (czytaj: „zza kordonu") — strzeliło do łba, że sztuka stoi nietylko obrazami, i że niepowinna być zamykaną pod kluczem na wystawie, ale być wszędzie i u każdego — w całej treści życia, tak jak było niegdyś — w wielkich epokach artystycznych. Że taką samą twórczością jak malowanie obrazu — może być komponowanie stołków, łóżek, wazonów, kilimów i t. p. Że sztuka może być wszędzie, wszędzie jest miejsce i rola dla artysty — i pole dla twórczości.

Co gorsze, „ci panowie" nietylko ośmielili się szerzyć swoje przewrotne teorye w taki czy inny sposób, ale ku zgrozie kapłanów prawdziwej sztuki — sami zakasali rękawy i stanęli do roboty. Siedzieli całymi dniami u stolarzy, starając się poznać własności drzewa, tajemnice jego obróbki i wiązania, t. j. konstrukcyi... Uczyli się tkać — tak jest — *tkać!* Po to tylko, żeby zrozumieć wymagania *stylowej* (t. j. przystosowanej do natury materyału) tkaniny. Inni grzebali się w dawnych drukach, żeby wyczuć, jak one osiągały to osobliwe piękno, które cechuje zabytki dawnej sztuki drukarskiej. Inni skopiowali setki witrażów francuskich — pięknych epok, poznali wymagania szkła i ołowiu, wygrzebali zapomniane tajemnice promieniowania barw — po to, żeby stworzyć projekty do najpiękniejszych witrażów współczesnych.

I t. d. I t. p.

Wreszcie przyszło im do głowy zrobić wystawę. Niechby zresztą robili gdzie w Krakowie, czy Lwowie, czy jakim innym S. Louis... Ale po co z niepojętą arogancyą pchać się do Warszawy? Czy ich tu kto wzywał? Czy tu mało jest miejscowych talentów?...

Byliśmy na tej wystawie. Boczne sale Zachęty zmieniły się do niepoznania. Zamiast jednej wielkiej landary — szereg niziutkich, niewielkich — *intime* — pokoików. Każdy zastawiony inaczej i innymi sprzętami, ale dbanie o *jednolitość* każdego z tych wnętrz posunięto aż do gatunku kwiatów w żardinierce, aż do koloru muślinowej zasłonki w oknie... Chodziło nietylko o parę nowych sprzęcików — ale o doskonały zespół, *o harmonię całości...*

I w tem właśnie urządzający wykazali smak bardzo wykwintny. Zamiast śmietniczków, które i teraz jeszcze od czasu do czasu widu-

jemy w Zachęcie — pokazano publiczności wystawę *skomponowaną*— i to skomponowaną ślicznie.

Czegoś podobnego dotychczas w Warszawie nie było.

Sprzęty!... nie chodzi tu o nie. Były, rozumie się, i lepsze i gorsze, bardziej albo mniej oryginalne, mniej albo więcej konstrukcyjne. Ale znakomicie świadczyły o jednem: o chęci wydobycia się z paskudnego szablonu, który cechuje sprzęty dzisiejsze. I — co ważniejsze — wydobycia nie przy pomocy secesyi wiedeńskiej czy monachijskiej — ale... tam było coś innego... coś z siebie i coś z tradycyi... Z tych miłych czasów, kiedy to babki nasze — podówczas młode i piękne — siedząc za szpinetem — śpiewały dorodnym ułanom niezapomnianą pieśń o Filonie...

Dziś „wszystko przeszło", — babki nasze cicho śpią w mogiłach, — i ułani zasłali kośćmi grochowskie pola... ale w starych sprzętach i pieśniach pozostał jakiś czar ukryty, jakiś sentyment niepochwytny — jak wpółzatarte słoneczne wspomnienie wczesnego dzieciństwa.

I to *coś* — przezierało tu i owdzie z kątów wystawy.

Pozatem nie chodzi zupełnie o „błędy" i „przymioty" tych sprzętów, o jakieś „pochwały" i „nagany". Bo te mi się wydają nie na miejscu. Rozumiem rzecz, jako *całość*, jako wielką sprawę, która *powinna* być drogą każdemu sercu polskiemu... Jako zadanie ogromne, do którego stanęli tylko nieliczni, i rozwiązują je w warunkach najtrudniejszych — wobec strasznej, mrożącej obojętności „ogółu" — bez pomocy materyalnej, bez nadziei sukcesów. I rozwiązują je z całą uczciwością, z całem przejęciem się wielkością zadania — z całym wysiłkiem talentu i inteligiencyi. Dali z siebie, co tylko dać mogli. Złe czy dobre — nie wiem, ale lepszych u nas nie widziałem, bo wogóle nie widziałem szerzej zakreślonej pracy w tym kierunku.... *To są pionierzy.*

Tylko nie z tych pionierów, co przemywali złote piaski Kalifornii. Nie! tu nie piasek złoty płukać trzeba, ale kuć w twardych granitach polskiego obskurantyzmu i polskiej bezmyślności.

Jakże przyjęto tę *sprawę* i tych jej pionierów?

Publiczność? Cóż od niej wymagać można? Tak bierna, tak ospała, tak obojętna sztuce, jak nasza! Cóż wymagać od publiczności, kiedy w westibulu Zachęty ktoś ze „swoich ludzi" łamał ręce nad tem,

że „tyle gwoździ wbili w ścianę"... Kiedy artyści patrzali na tę wystawę nieledwie jak na profanacyę „czystej" sztuki. A nawet znalazł się ktoś, co z amatorstwa oprowadzał publiczność po wystawie — wytykając i karcąc energicznie liczne „błędy", niewczesne pomysły i t. d., w myśl zbwiennej zasady: „różdżką Duch święty"...

Przypomina się mimowoli kapitalna uwaga Kramskiego. Onego czasu wielki malarz rosyjski Iwanow wystawił swój słynny obraz — „Chrystus przed ludem" — rewolucyjne na owe czasy dzieło. Uczniowie Akademii chodzili go oglądać, ale — wytresowani przez Bruni na nogach Apollinów i Hermesów—znaleźli tylko, że „stopy są doskonale rysowane"...

„I wierno i głupo"—filozoficznie konkluduje Kramskoj. I jakże, często w życiu tak doskonale dają się zastosować te złote słówka!..

Najmniej może szczęśliwie spełniła swoje zadanie krytyka. Z wyjątkiem paru pism ciepło usposobionych, ale mało czytanych, sprawozdania wypadły chłodno. I co gorsze zbyt trzymano się ram sprawozdania. Mówiono o stołkach i kilimach, krytykowano szczegóły, zamiast ująć *całość* faktu i pracę — zaczętą z właściwego końca, opartą na zdrowych podstawach — popchnąć dalej. To znaczy: zdobyć dla niej życzliwość publiczną. Jednemu niepodoba się przytem wyraz „polska" w nazwie Towarzystwa. Drugi znajduje, że sprzęty są zadrogie, inny — szuka z zapałem godnym lepszej sprawy prototypów prac wystawionych.

Jest to zresztą zrozumiałe. Krytyce naszej brak (między innemi) rzeczy niezmiernie ważnej, t. j. *skąli*. Inaczej mówiąc, miary do oceny *stosunkowej* doniosłości zjawisk. Pierwsza lepsza bzdura daje jej pochop do patetycznych deklamacyj o „przełomowej chwili". Sprytnie namąlowany obrazek upoważnia do porównań z Leonardem da Vinci. Innym razem już z czystej przyjaźni porównywa się z Böcklinem jakiegoś amatora wiorstowej długości wężów z cynobru i ultramaryny. I t. d.

Odwrotnie. Tam, gdzie potrzeba mówić, krytyka milczy. Bo gdzie ona była, kiedy Warszawę i sztukę hańbiono gmachem Zachęty, kiedy Włodzimierską ulicę zeszpecono takiem paskudztwem, jak dom Techników, kiedy stawiano Filharmonię i dziesięć innych budowli?...

Co robi krytyka wobec niebotycznych konkursów Koła Archite-

któw? Konkursów, na których stale wyróżnia się prace najsłabsze i stale pomija dzieła talentu —?

Gdzie była, kiedy w tejże Zachęcie wystawiano potworne w konstrukcyi i dekoracyi sprzęty w *„stylu zakopiańskim"*? Wstrętne fabrykaty, po których już żaden człowiek smaku nie będzie mógł myśleć o zakopiańskich motywach.

I gdzie była krytyka artystyczna podczas skandalicznej sprawy z *dojazdem* do III-go mostu? Sprawy, której grozi jeszcze skandaliczniejszy epilog?

I tak dalej i bardzo daleko. Bo możnaby ułożyć całą litanię rzeczy, wobec których powinno się krótko i dobitnie powiedzieć — „Precz z tem świństwem!" Przecież prawie wszystko, co się u nas dzieje w zakresie — szeroko pojętej — sztuki — wszystko prawie jest potwornością, dla której niema nazwy przyzwoitej.

Rozumie się, krytyka tu nic nie naprawi, bo zło ma zbyt głębokie źródła. Nie naprawi — ale zrobi — ale powinna była zrobić, co do niej należało.



L. R.

Ludwik Stanisław Liciński

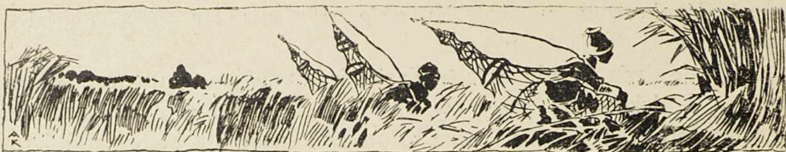
Po życiu krótkiem, lecz pełnem krzywd niezasłużonych i cierpień, z nieugiętości ducha i z dumy szlachetnej płynących, po chorobie powstałej na podłożu nędzy, zmarł w Otwocku na suchoty młody, silny artysta i człowiek piękny. Umierając, miał zaledwie 34 lata, pozostawił więc po sobie niewiele; ale to, co pozostawił, było pisane krwią serdeczną.

Zarówno „Halucynacye" — szereg nowel, drukowanych w dawnym „Głosie", jak i świeżo wydaną książkę „Z pamiętnika włóczęgi", cechuje wspólna nienawiść do obecnego ustroju społecznego, do małomieszczańskiej etyki, do fałszu i brzydoty życia,— oraz wielka tęsknota do obiecanej ziemi jutra, kiedy zapanują na świecie swoboda, równość i prawda.

Liciński był jednym z tych twórców, których życie nie przeczyło ich sztuce, lecz harmonizowało z nią doskonale. Dumnie odtrącił od siebie wszelką ideę kompromisu i prowadził życie włóczęgi i proletaryusza, dzieląc losy tych, dla których pisał. Nędza, w jakiej spędził krótkie lata młodości, zniszczyła jego organizm; suchoty przecięły życie pisarza — ale duch zdolnym pozostał do końca. Jeszcze na trzy dni przed śmiercią pisał o swoim gniewie na „ludzi, pełzających jak węże", o tęsknocie do kwiatów „z twarzami anielic".

Niechaj wspomnienie jego żyje w pamięci niewielkiej drużby duchów pokrewnych, niechaj ich krzepi w walce, niech będzie szczeblem „do sławy grodu".





W. LIS

Rusini i Rosyanie w Galicyi

Państwo rosyjskie, nawet w tych obszarach, niezamieszkanych przez Polaków, które wielu ludzi u nas zwykło nazywać wprost „Rosyą", nie jest jednolite narodowo. Są tam i Niemcy, i Łotysze, i Litwini, i Rusini i wiele innych narodów oraz narodków, bardziej lub mniej uświadomionych co do swej odrębności, i stosownie do tego z większą lub mniejszą energią dążących do uzyskania takich form bytu prawno-państwowego, któreby jej pozwoliły się rozwijać. Okoliczność ta nie jest dla nas pozbawiona znaczenia. Państwa rosyjskiego niemożna porównywać ani ze Szwajcaryą, ani z Austryą; narodowość panująca przeważa w niem bezwzględnie nad wszystkiemi innemi, ale w każdym razie fakt współistnienia z nami szeregu innych organizmów narodowych, mających pewne niezaspokojone potrzeby, stwarza dla nas szanse korzystne. Zwłaszcza tyczy się to narodów ościennych, związanych z nami wspólnością tradycyj historycznych oraz terytoryum, które one wraz z częścią narodu polskiego zamieszkują.

Coprawda, na ogólny kierunek polityki państwowej narody te w chwili dzisiejszej wywierają wpływ bardzo mały, dzięki swemu słabemu uświadomieniu. Tyczy się to zwłaszcza Rusinów, wśród których ilość ludzi, mających poczucie narodowe, śmiesznie jest mała w stosunku do ogólnej ilości używających języka (czy narzecza) rusińskiego jednostek. Jeżeli jednak zważyć na ten olbrzymi materyał etnograficzny, jakim jest Małorosya ze swymi 20, czy 25 milionami mieszkańców, złączonych wspólnością języka, historyi i urządzeń społecznych, to łatwo ocenić, jakie znaczenie miałoby istnienie obok nas, w łonie państwa, narodu rusińskiego. Ponieważ zaś rozwój samowie-

dzy narodu w jednej jego części musi odbijać się na reszcie, więc kwestya stosunków polsko-rusińskich za kordonem oraz wewnętrznego rozwoju ukraińsiwa galicyjskiego nie jest sprawą zaścianka, zwanego Galicyą i Lodomeryą, ale obchodzi nas wszystkich, a te lub inne jej rozwiązanie odbije się na losie całego narodu.

Otóż w rozwoju stosunków między Polakami a Rusinami zaszedł ostatnimi czasy fakt bardzo znamienny. Przy wyborach do sejmu galicyjskiego posłami zostało aż 11 przedstawicieli partyi „rosyjsko-narodowej", podczas gdy „ukraińcy" uzyskali tylko 8 mandatów, a stało się to przy czynnej pomocy polskich sfer rządzących, t. j. administracyi oraz szlachty. Przyczyny i znaczenie tego faktu pragnąłbym tu wyłuszczyć.

Zacznę od dość odległej przeszłości. Za czasów polskich kultura rusińska rozwijała się, wprawdzie daleko powolniej od polskiej, ale względnie pomyślnie. W Kijowie istniała akademia, na prowincyi pewna ilość szkół, drukarń, bractw. Ale Kijów odpadł od Polski, a Rosya, która w nim zapanowała, zaczęła się wkrótce przetwarzać w potężne państwo, w którem zanikały wszelkie odrębności prowincyonalne. Już Piotr I zaczął znosić autonomię Ukrainy, cesarzowa Katarzyna dokończyła tego dzieła, rozwiązując Sicz, zaprowadzając nauczanie rosyjskie. Rozwój narodowy zostaje wstrzymanym, odnawia się zaś dopiero w r. 1848, w Galicyi. Tam biurokrata austryacki Stadion oraz arystokrata polski Agenor Gołuchowski, przerażeni wzrostem polskiego ruchu rewolucyjnego, postanawiają przeciwstawić mu wskrzeszone rusiństwo. Rusini uzyskują „Dom narodny" z bogatem uposażeniem, w niemieckim uniwersytecie lwowskim, obok jedynej katedry języka i literatury polskiej, powstają 4, później (w 1862 r.) 6 katedr rusińskich. Następuje era konstytucyjna. Element polski uzyskuje szybko przewagę, ale Rusini cieszą się zawsze opieką rządu i powoli rozwijają się u nich szkoły, pisma, stowarzyszenia, nawet banki. W tym okresie rządzi wśród nich partya *staroruska* (zwana też *świętojurską* od katedry św. Jura, która stanowiła jej ognisko). Partya ta jest konserwatywna, do Rosyi uczuwa wielką miłość, zaś w polityce trzyma się ślepo wkazań rządu austryackiego, co zjednywa jej nawet nazwę „tyrolczyków wschodu" — „czarnożółtych ruteńców". Ale sympatye ku Rosyi wchodzą wkrótce w kolizyę z lojalnością. W r. 1882 wielka gmina pod Zbarażem, Hniliczki, wypowiada chęć przejścia na

prawosławie, a wkrótce potem okazuje się, że prokuratorya zostaje zmuszoną wytoczyć proces pewnej ilości filarów świętojurstwa („proces Olgi Hrebar i towarzyszy“—księdza Naumowicza, radcy dworu Dobriańskiego i innych). Wszczyna się wielki alarm. Namiestnik Potocki, który w dalszym ciągu popierał świętojurców, podaje się do dymisyi, metropolitę Sembratowicza papież powołuje do Rzymu, gdzie pozostaje on do śmierci, wychowanie kleryków zostaje zreformowanem i usuniętem z pod wpływu ich dotychczasowych kierowników. Jednocześnie zaczyna się rozwijać nowe stronnictwo „ukraińców“. Ci stoją na gruncie odrębności narodowej, starają się oczyścić język i pisownię od naleciałości rosyjskich, zaś pod względem politycznym i społecznym są o wiele radykalniejsi od świętojurców. Między nimi a szlachtą zaczyna się wkrótce ostra walka, przerwana tylko raz, w r. 1890, gdy z poręki Kazimierza Badeniego zawarta była ugoda. Rusini otrzymali wtedy 4 gimnazya oraz dość znaczne uwzględnienie swego języka w administracyi i sądownictwie Galicyi wschodniej. Ale ustępstwa te bynajmniej ich nie zadowoliły, i po krótkiem zawieszeniu broni wszczyna się nanowo walka między nimi a szlachtą oraz mieszczaństwem polskiem.

W ostatnich czasach walka ta zaostrzyła się mocno wskutek wystąpienia narodowej demokracyi z hasłem sprzeciwiania się wszelkiemi siłami dalszemu rozwojowi Rusinów. Jednocześnie odradza się stronnictwo staroruskie w zmienionej, bardziej szczerej szacie. Występuje ono jako partya „rosyjsko-narodowa“, zarzuca skażony język rusiński i wprowadza *rosyjski*. Przyjrzyjmy się, jak jego główny rzecznik, poseł Markow, streszcza dążenia „rosyan galicyjskich“ *).

Kultura rosyjska stworzoną została nietylko przez wielko-, ale i przez mało-rosyan, stanowi przeto dorobek obu plemion. Język ukraiński jest tylko narzeczem rosyjskiego, nieposiadającem żadnych danych do rozwoju samoistnego. Przeto narzecze ukraińskie powinno być używanem tylko w szkołach ludowych i to dopóty, póki szkoła średnia i wyższa nie wyhoduje pokolenia, władającego językiem rosyjskim. Narzucanie rusinom galicyjskim dyalektu małoruskiego, używanego przez włościan w Rosyi południowej i rzekomo dla galicyanina

---

*) *Dr. Dmitrij Markow.* Die russische und ukrainische Idee in Oesterreich (rosyjska i ukraińska idea w Austryi). Wiedeń, 1908.

niezrozumiałego, — byłoby nonsensem, a taką samą niedorzecznością — wyrzeczenie się literatury rosyjskiej dla złudnej mary stworzenia własnej, ukraińskiej literatury. Dążeniem „Rosyan galicyjskich“ powinno zatem być zaprowadzenie języka rosyjskiego w szkołach galicyjskich, w sądownictwie i administracyi, oraz równouprawnienie go z polskim w sejmie, a z innymi językami państwowymi — w parlamencie.

W życiu codziennem jednak stronnictwo ros.-nar. nie walczy o uznanie języka rosyjskiego. Ma ono dosyć kłopotu z nauczeniem czytelników swego organu („Hałyczanina“) porosyjsku*), dlatego główną swą uwagę zwraca na zwalczanie narodowców ukraińskich, zadawalając się wygłaszaniem w parlamencie mów rosyjskich. Na tem tle zrodziło się zbliżenie między nimi a polskimi stańczykami oraz narodowymi demokratami.

To zbliżenie stwierdzonem zostało przed wyborami sejmowymi w licznych przemówieniach agitatorów rosyjskich na wiecach, gdzie w rozczulający sposób stwierdzaną była zgoda między nimi a Polakami, oraz przeciwieństwo obu obozów do patryotów rusińskich — ukraińców. W Bereźnicy, na wiecu, zwołanym przez hr. Edm. Dzieduszyckiego, ks. Korneli Senik wyraża nadzieję, że „oba narody w Galicyi (Rosyanie i Polacy) potrafią się zgodzić ze sobą na wszystkich polach i po stłumieniu nierozsądnego, na szowinizmie i ambicyi i najgorszych instynktach ciemnego tłumu opartego ruchu *ukraińskiego*, doprowadzą kraj do kwitnącego stanu“ (Nowa Reforma, Nr. 28). W tym samym duchu przemawia włościanin Dawydiak. Organ „rosyjski“, „Hałyczanin“, jest ostrożniejszy: powiada, że „dopóki Polacy nie złożą *konkretnych* dowodów na to, że zmienili już swe zapatrywania na partyę rosyjską w Galicyi, dopóty partya ta nie może wchodzić z nimi w żaden sojusz“, dodaje jednak, że „sojusz nie jest bynajmniej wykluczony, *ponieważ opiera się na obopólnych korzyściach*“.

Przyszły wybory do sejmu. Kandydaci rosyjscy cieszyli się wszędzie poparciem starostwa, gdy zaś dochodziło do wyborów ściślejszych, głosowali na nich wyborcy, będący pod wpływem Rady narodowej polskiej. Rezultat jest wiadomy. A oto, jak formułuje przyszły

*) Służy ku temu umieszczanie w nawiasach wyrazów w „narzeczu“, np.: pierczatki (rukawiczki), czułki (pończochy) i t. p.

stosunek obu narodów poseł Hlibowicki w „Polnische Post“, informacyjnym organie Koła polskiego, wydawanym w Wiedniu:

„Wychodząc ze słowiańskiego założenia naszej społecznej i politycznej działalności i licząc się z wymogami kulturalnego rozwoju narodowości i plemion, a temsamem uznając potrzebę spokojnego pożycia, stoimy na stanowisku, że oba narody, Rosyanie i Polacy, w całej Galicyi uznawać powinny zasadę *suum cuique*“.

Zaś zwycięstwo nad ukraińcami poseł Hlibowicki tak objaśnia:

„Ukrainofile nie mogą zaprzeczyć, że właśnie negacya imienia *rosyjskiego* i zamiana jego na „ukraińcy“ zrobiła ich partyę niepopularną we własnym narodzie... To, a nadto stałe wzrastanie świadomości narodowej rosyjskiej wśród ludu, pozwoliło nam liczyć na korzystny wynik ostatnich wyborów sejmowych“ (cytowane w „Słowie Polskiem“, Nr. 155).

Objaśnienie tej nowej oryentacyi „narodowej“ polityki sfer rządzących w Galicyi jest bardzo proste: urzędnik Polak obawia się wzrostu narodu rusińskiego, gdyż to zagraża mu utratą dotychczasowego uprzywilejowanego stanowiska we wschodniej Galicyi. Zaś obszarnik Polak jest wrogiem społecznych tendencyj silnie klasowo uświadomionego włościaństwa rusińskiego, które stanowi rdzeń partyi „ukraińskiej“. Obaj oni zatem wolą partyę „rosyjsko-narodową“, gdyż ta występuje mniej radykalnie pod względem społecznym i obojętnie się zachowuje względem żądań narodowo-ukraińskich. Co zaś później będzie, jakie skutki wynikłyby z uznania w Galicyi narodowości rosyjskiej,—to tych panów mało obchodzi. I gdy się temu przyglądamy, mimowoli przychodzą na myśl odległe, ale tak podobne do dzisiejszych czasy, kiedy to trzy królewięta, poparte przez tłum szlachecki, z nienawiści do „sukcesyi tronu“ i do społecznych pożądań rodzącego się mieszczaństwa polskiego, obaliły i dzieło sejmu czteroletniego i z niem—podstawy własnego istnienia...





W. J.

Zamach na namiestnika Galicyi

Zarówno psychologiczne, jak polityczne pobudki zamachu na hr. Andrzeja Potockiego, oraz do pewnego stopnia jego przypuszczalne skutki są obecnie wiadome. Niema już mowy o czynie szaleńca, czy tam neurastenika, nad którym zarówno Polacy, jak i Rusini przejdą niebawem do porządku dziennego. Był to czyn polityczny w całem znaczeniu tego słowa, czyn dokonany według wszelkiego prawdopodobieństwa na własną rękę, ale napewno w milczącem porozumieniu z ogromną większością tego, co się nazywa narodem rusińskim, — wszystkich Rusinów, zajmujących się polityką. Czynu takiego niemożna zbyć ani — szczerem czy nieszczerem — współczuciem dla ofiary, ani oburzaniem się lub sentymentalnym podziwem dla sprawcy. Należy wniknąć w przyczyny i wysnuć stąd wnioski.

W psychologii współczesnego patryoty rusińskiego dominują dwa uczucia: jawna i, dodajmy odrazu, świadcząca o niskim stopniu wyrobienia politycznego niecierpliwość, oraz utajone uczucie bezsilności. Niecierpliwość polityków rusińskich sprawia takie wrażenie, jakgdyby oni wszyscy byli studentami; nie pojmują oni bowiem zupełnie, jak można, mając jakiś cel polityczny, dążyć doń wytrwale przez długi czas z przeświadczeniem, że się go kiedyś osiągnie. Przy lada przeciwieństwie wpadają w rozpacz, wyciągają armaty tam, gdzie idzie o postrzelenie wróbla, a później, gdy potrzebna jest akcya intensywna, są wyczerpani. A jednocześnie odczuwają, jak nikła jest u nich narodowo uświadomiona warstewka ludu; nie mają zupełnie tej pewności siebie, która pozwala wstrzymać się raz, innym zaś razem ruszyć z całym impetem naprzód. Stąd łatwo rodząca się rozpacz i chęć sta-

wiania wszystkiego na kartę, zarówno u całych partyj politycznych, jak u poszczególnych jednostek.

Polityka Rusinów, to chęć zdobycia sobie lepszych warunków bytu narodowego. Ale brak im zupełnie wiary w możność uzyskania tego, czego im potrzeba, od Polaków. U siebie nie widzą sił potemu, i wśród Polaków nie znajdują sił, któreby im to zapewniały. Szukają zatem sojuszników poza granicami Galicyi. Żeby zaś pobudzić tych aliantów do akcyi, trzeba mocnych argumentów. I oto wszystkie usiłowania rusińskie z ostatnich czasów redukują się do stwarzania takich argumentów: w r. 1901 secesya młodzieży rusińskiej z uniwersytetu lwowskiego, w jesieni roku ubiegłego — krwawa bójka w uniwersytecie przy imatrykulacyi, później łamanie pulpitów i ciskanie w posłów deskami przy dyskusyi w parlamencie, wreszcie — *ultima ratio*, browning.

Ani jedno stronnictwo rusińskie nie potępiło wyraźnie i stanowczo czynu Siczyńskiego. Z początku głosy pochwalające go były nieliczne, redukowały się do enuncyacyi posłów, których kryje nietykalność parlamentarna. Ale zarówno władze austryackie, jak prokuratury polskie postanowiły nie dolewać oliwy do ognia i nie pociągały nikogo do odpowiedzialności za przekroczenie paragrafu ustawy karnej, grożącego odpowiedzialnością za „wychwalanie czynów zbrodniczych". Wtenczas okazało się, że zarówno radykali rusińscy, jak „ukraińcy" czyli stronnictwo narodowo - demokratyczne w zasadzie uważają, że czyn Siczyńskiego był tylko spełnieniem życzenia ogólno-narodowego. Ba, doszło do tego, że poseł Wasilko, wiceprezes klubu posłów rusińskich, za potępienie zamachu został ostro skarcony przez zgromadzenie studentów rusińskich w Wiedniu i uznał z tego powodu za stosowne oświadczyć, że zrzeknie się swej godności, ponieważ „naród" go nie popiera.

To określanie pożądanej oryentacyi „narodu" przez garstkę studentów wskazuje, że oni właśnie reprezentują jego opinię. My zaś ze swej strony możemy to uważać za objaw „niezdrowy", „nienormalny", ale musimy się z tem liczyć.

Co należy czynić? Jaką powinna być polityka stronnictwa, obejmującego wzrokiem całość interesów narodowych, w stosunku do Rusinów galicyjskich? Oto pytanie, które z musu nasuwa się obecnie każdemu. I odpowiedzi są. Galicyjska narodowa demokracya powia-

da, że należy sprzeciwiać się wszelkiemu uszczupleniu „stanu posiadania“ polonii galicyjskiej, co w praktyce równa się odmówieniu Rusinom wszelkiego postępu na polu praw narodowych. Nie mogą oni uzyskać uniwersytetu własnego we Lwowie, gdyż to „naruszyłoby charakter polski“ miasta; nie mogą rozszerzyć zakresu swego wpływu na urzędy oraz sądy, gdyż to zmniejszyłoby ilość urzędników Polaków. Wszystko ma zatem pozostać podawnemu. Konserwatyści dają inne wyjście: popierać żądania partyi „rosyjsko-narodowej“, czyli w zasadzie godzić się na wprowadzenie trzeciego języka krajowego — rosyjskiego — do urzędu, sądu, szkoły. W ten sposób, zdaniem szlachty wschodnio-galicyjskiej, osłabi się najskuteczniej siły narodowców rusińskich.

Oczywiście, że oba programy nietylko nie uspokoją umysłów we wschodniej Galicyi, ale one to właśnie stwarzają ten nastrój, który znajduje ujście w czynach, podobnych biciu kijami profesorów Polaków lub mordowanie polskich przedstawicieli władzy. I nastrój ten trwać będzie, dopóki Rusini nie przekonają się, że wśród Polaków samych istnieje stronnictwo, które, nie wyrzekając się bynajmniej troski o własną narodowość, chce jednak udzielić im wszystkiego tego, bez czego naród współczesny rozwijać się nie może. Tylko wówczas i w dodatku wtedy, gdy stronnictwo podobne będzie miało odpowiednią siłę, Rusini zaczną zwracać się nie w kierunku obcych sojuszników, zaniechają szukania pomocy czy na wschodzie, czy na zachodzie, lecz będą przystosowywali swe czynności do interesów sprzyjającej im partyi polskiej.

Oczywiście, że ani szowinistyczna narodowa demokracya, ani zgrzybiała przedwcześnie demokracya, ani stańczykierya galicyjska nie będzie takiem stronnictwem. Mogą niem być tylko socyaliści, którymi kieruje zarówno chęć jaknajwszechstronniejszego zdemokratyzowania kraju, jak wzgląd na całokształt interesów narodu. Tylko ten może zachować zimną krew i dać sobie radę z trudnościami, wynikającemi z walki o żer na śmietniku galicyjskim, kto potrafi sięgnąć wzrokiem zarówno w przeszłość, obejmującą harmonijnem współżyciem wszystkie narody między morzem Czarnem a Baltyckiem, jak i w przyszłość, brzemienną bojami, w których każdy sojusznik jest pożądany.

Nie jest bynajmniej utopią to, co piszemy. Głosy „Naprzodu“ kra-

kowskiego i „Głosu“ lwowskiego wcale nie były odosobnione. W każdym innym kraju czyn Siczyńskiego wywołałby napewno liczne głosy, domagające się bardzo ostrych środków wyjątkowych, mających zapobiedz powtarzaniu się czegoś podobnego. Stwierdzić należy, że tego w Galicyi nie było. Ponieważ zaś sprawa Galicyi wschodniej jest dla Austryi *mutatis mutandis* tem samem, co sprawa Czech, Morawii, Krainy, Istryi, Tyrolu i t. d. i t. d., więc trzeba się spodziewać, że dramat lwowski przyczyni się do wprowadzenia w całem państwie takich norm, któreby na przyszłość wszędzie umożebniły, pokojowe współżycie narodów. Na takiej rekonstrukcyi my tylko zyskać możemy.



MISERICORDIA



(p) Rzecz powszechnie znana, że wszelki określnik w zastosowaniu do pana redaktora „Myśli Niepodległej" przybiera przystawkę *wszech*, wywalczoną przezeń od katechizmowego Boga. Ale, jak widać z nr. 60 tego pisma (str. 559, 560, 561 — „Zapiski" — „Misericordia"), przynajmniej jednej z miliona zalet pan redaktor jeszcze nie zdobył: miłosierdzia... Przecie po tem, co napisał o nas — kto? — pan Andrzej Niemojewski! — poprostu nie możemy istnieć, nie dlatego, że *to* właśnie jest napisane, lecz dlatego, że to napisał pan Andrzej Niemojewski. A przecież „misericordia" znaczy też: miłosierdzie... Misericordię więc racz nam dać, Panie!

I Pan ją da z pewnością, jeżeli z uwagą i bez pasyi przeczyta to, o czem pisał, oraz to, co sam napisał. A zresztą — wielką wprawdzie jest winą naszą, że kochamy, bardzo kochamy swoich współpracowników, ale Pan, który nam to wyrzuca, ulituje się, wziąwszy na uwagę, że nawet w mniemaniu własnem nie mamy monopolu na doskonałość, że wszakże niekażdemu dano się pławić w bezkrytycznem samouwielbieniu, — a nadto, że gdzieindziej — bliżej — Pan znajdzie napewno i często ekwilibrystykę nawet garmontową. Co wobec tego mogłaby znaczyć, gdyby istniała, nasza ekwilibrystyka, której Pan tak się doszukuje w petitach! A kopnięcia? Miły Boże! (...ach, przepraszam Pana!...) — Toć że to chciało się skopać Przybyszewskich, Zychów, Swiętochowskich, Sieroszewskich, Prusów, Daniłowskich, Matuszewskich..... owszem, garmontem... Ci jednak żyją, na szczęście, dotychczas, i powodzi się im wcale nieźle. A już co do metody polemicznej, to o niej nie może być mowy tam, gdzie niema polemiki: protest więc zbyteczny.

Pozatem warto się zastanowić, że czyni się istotną krzywdę tak pani Izie Moszczeńskiej, jak panu J. Kurnatowskiemu, dopiero wtedy, gdy się miesza skierowane ku Nim żartobliwe uwagi, niezawierające ani szczypty chęci urażenia, ze wzmianką o owym artykule z nr. 10 „Tygodnika", nadomiar tak pięknie zrozumianą. Tak, tak... Trzeba uważnie czytać i rozumieć (co zresztą jest tak bardzo widoczne), że felieton nasz zawiera ucinki, żarty, no — i ostre odprawy z powodu spraw, nad któremi rozwodzić się dłużej niemożna lub niewarto; że nie są „maskami" owe litery (ta dyskre-

cya jest nieznośna — prawda?), oznaczające oddzielne artykuły, bo nawet w Piśmie Pańskiem znajduje się może więcej takich „masek“; że właśnie człowiek prawdziwie poważny pozna się zawsze na żarcie i granice jego określi... Ale na uznanie tego trzeba odrobiny dobrej woli, nie zaś niczem nieusprawiedliwionej niechęci i uprzedzenia. Tem bowiem tylko da się wytłumaczyć wzmianka o „adoracyi wzajemnej“ oraz o „metodzie nieetycznej“... Wzruszenie ramion może być jedyną na to odpowiedzią.

Ale oślepła, bo bezpodstawna, zaciekłość, wysypująca cały worek zarzutów, sprawiła, że wypadło tuż z nimi... szydło. Oto jest i pan Józef Wasercug, i wydawany przezeń „Panteon“, „reklamujący się“ rzekomo w „Witeziu“. O, kliczko! O, kapliczko! Przepraszamy najmocniej, ale poprawy nie obiecujemy. Owo „reklamowanie“ to zamienne ogłoszenie „Panteonu“, które, mimo niezadowolenie Pańskie, powtarzać się będzie... Za co jeszcze raz przepraszamy, życząc serdecznie: *Medice, cura Te Ipsum!*

(st) Poważni ojcowie rodzin drżący o synów i zięciów, matrony drżące o poważnych ojców rodzin, ciekawe mamy usprawiedliwiające „wolnomyślnością“ pokazywanie nieletnich córeczek w różnych knajpach - kabaretach, gdzie sprośności śpiewane na estradach idą w parze ze sprośnościami przy stolikach na sali, — jednem słowem wszyscy—już ze spokojem katolickich sumień mogą używać dowoli: pierwsi—pożądliwego oblizywania się na widok „śpiewających“ i „tańczących“ półnagich „piękności“, ostatnie—zaspakajania drażniącej ciekawostki, w której duma z własnej „czystości“ łączy się z przymieszką niejakiej zawiści na widok bajecznych powodzeń kwiczących i skaczących bajader... Oto instytucya tak nam potrzebna — „Aquarium“ — nareszcie została uświęconą przez kościół poświęceniem jej *magna cum ceremonia* przez księdza Pogorzelskiego, *ad hoc* sprowadzonego z Bielan. Uroczystość odbyła się wspaniale. Wypadków z ludźmi nie było.

(ja) Idea polska „nowoczesna“ święci tryumfy: postulaty p. Romana Dmowskiego („Myśli nowoczesnego Polaka“) i p. Zygmunta Balickiego („Egoizm narodowy“) podbijać zaczynają świat. A więc:

1) W Prusach w imię „racyi stanu“ uchwalono wywłaszczenie i zakaz mówienia popolsku.

2) W Galicyi Ukraińcy celem zwiększenia i wzmocnienia „stanu posiadania“ zastrzelili namiestnika.

3) W Dumie minister spraw zagranicznych, p. Izwolskij, wyraźnie mówi o „zdrowym egoizmie narodowym“, w obecności p. Dmowskiego.

Miło być ojcem żywotnych idei — słodko doczekać się ich tłumaczenia na obce języki...

„Nowoczesna“ idea polska zwycięża na całej linii.

Hej!... laurów dla pp. Romana i Zygmunta!

(W. P.) W popularnych obecnie kinematografach zdarza się czasem taki figiel:

serya widoków zaczyna się przesuwać w odwrotnym porządku, tak, że ostatni widok staje się pierwszym, a pierwszy — ostatnim.

Jest to bardzo ucieszne widowisko. Przykład: kinematograf wyobraża obrazek rodzajowy: na podwórzu łapią prosiaka, niosą go do kuchni, zarzynają, pieką i wreszcie jedzą. Nagle coś się w kinematografie psuje, i obrazy zaczynają przesuwać się w odwrotnym porządku: pan, który tylko co jadł prosię, niesie do ust widelec i wydobywa z ust różne kawałki prosięcia; kawałki te padają na półmisek, zrastają się... oto już całe prosię leży na półmisku — chociaż upieczone, ale całe. Zanoszą je do kuchni, tam kucharz puszcza w ruch nóż w odwrotnym kierunku, i prosię zmartwychwstaje. Posługacz niesie je na podwórze i ucieka od tryumfującego zwierzęcia.

Kto widział taką scenkę, niech nie przypuszcza, że można ją obserwować tylko w kinematografie, i że jest ona zawsze zabawna i ucieszna...

Przecież przeżywana przez nas obecnie chwila jest takim właśnie kinematografem naopak. Wydaje się, że ten majster od kinematografu życia, ten „Ktoś Szary", (jakby powiedział Andrejew), przesunąwszy przed naszemi oczami olśniewającej piękności obraz, puścił kinematograf naopak. Ukazawszy nam z początku bardzo ciekawy obraz pod nazwą „Ruch wolnościowy", pan majster nagle nacisnął jakieś sprężyny, zawołał: raz, dwa, trzy! — i obrazy te same, tylko w przeciwną stronę, zaczęły się przed naszemi oczyma przesuwać z błyskawiczną szybkością: oto widok wprost przeciwny temu, który widzieliśmy dwa lata temu; oto scena będąca odwrotną stroną tego, co było rok temu; oto obraz, który z przeciwnej strony widzieliśmy przed półrokiem i t. d. Tak przechodził przed naszemi oczami cały cykl obrazów od początku do końca i od końca do początku. Wypadki, skończywszy cykl, powróciły do stanu pierwotnego; upieczone i zjedzone prosię znowu spaceruje po podwórzu. Zwolennicy widowisk dziwacznych i rzeczy przeciwnych naturze zadowoleni są z tego widowiska naopak, z tego przenicowania historyi i trwają w błogiem przeświadczeniu, że to właśnie jest naturalny bieg rzeczy, że tak właśnie być powinno.

Ludzie zaś zdrowo myślący — ludzie, których wzrok nie został porażony kataraktą wstecznictwa, zdają sobie sprawę z tego, że tylko traf albo zła wola maszynisty od kinematografu mogła im spłatać figla i zmusić do oglądania kinematografu naopak. Nie wątpią oni, że zczasem wszystko wrócić musi do normalnego stanu rzeczy: obrazy kinematografu pójdą w porządku naturalnym, a tryumfujące prosię znowu się znajdzie na półmisku.

(h) W Harmonijnym Gmach-Skandalu wypierają plamę nową; na nic jednak cała praca: nie obalić muru głową! Ja wam, praczki, mówię szczerze: ta się plama nie wypierze, a zaś *takie* pranie — ludzi, którzy piorą, także brudzi...



═══ *Leon hr. Tołstoj*. Spowiedź. Tłumaczenie z rosyjskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1907.

Tołstoj jest jednym z najciekawszych dokumentów epoki, zarazem zaś jednym z najrdzenniejszych przedstawicieli Rosyi—nie tej Młodej Rosyi, co patrzy w Przyszłość, co znalazła już swego Boga, co wie, dlaczego żyć i dlaczego umierać — lecz Rosyi dawnej, ginącej, która pod złotogłowiem kryła ohydne łachmany, która nie wiedziała, co począć z nadmiarem swych sił i bogactw, która ciskała je też z rozpaczliwym, bezmyślnym uśmiechem w lochy bezpowrotne, nurzała się we krwi i błocie i czuła w sobie jakąś bezpłodną, nieutuloną pustkę.

Gdy się czyta brutalne, okrutne i naiwne wyznania Tołstoja, widzi się z jednej strony obnażoną z wszelkiej obłudy zbrodniczość i bezideowość mniej szczerych, niż pisarz rosyjski, sytych bourgeois europejskich, z drugiej zaś barbarzyństwo umysłu, nienawykłego do myślenia, człowieka, który przez pół długiego swego życia nie miał czasu ni ochoty spojrzeć *niżej*—spojrzeć nietylko okiem, lecz także sercem i duszą—człowieka, któremu zwierzęce bujne życie zabrało na swe usługi olbrzymi talent twórczy, przepaliło duszę, stępiło uczucia, artysty, który żył tylko—pomimo całej potęgi „realizmu“ swych dzieł—własną wyobraźnią i najprostszymi, pierwotnymi instynktami swych powieściowych bohaterów.

Tołstoj jest pierwszorzędnym pisarzem, niezwykłej miary artystą. Jego styl ma w sobie surową powagę, prostotę, siłę i spokój rzeczy dojrzałych, nieomylnie prawdziwych. Jego ludzie żyją tak silnie, że pamiętamy ich lepiej chyba, niż życie samo. Ale pierwotność tych ludzi nie ma w sobie wielkości. Kieruje nimi miłość, strach, śmierć, zbrodnia, zazdrość, chciwość—lecz dno ich dusz puste—charakteryzuje ich jakiś bezwład ducha, który też całej działalności artystycznej Tołstoja odbiera właściwie tytuł wielkiego twórcy. Czytając Tołstoja, a nadewszystko jego „Spowiedź“, w której ręką *quasi*-szczerego barbarzyńcy niweczy swe własne twory, obrzuca je pogardą, rozumiemy doskonale milionowych kupców rosyjskich, którzy, zbijając pieniądze wszelkimi środkami, nie wiedzą potem, jak skarbów tych użyć lub użyczyć, i... rozbijają bezcenne lustra, tworzą z fortepianów sadzawki pełne wina szampańskiego, w które puszczają sardynki, oblepiają adamaszkowe obicia gabinetów najdroższym serem, jaki wynajdą, potrafią wreszcie przez trzy tygodnie z rzędu pić na umór, by zagłuszyć w sobie czczość, nudę — lub wprost w tym celu, że coś przecież trzeba mieć za swoje miliony... I im więcej czyta się tego „wielkiego pisarza z ziemi rosyjskiej“, tem bardziej—pomimo, iż mało który z poetów świata miał tak potężne, lecz także tak przyziemne odczucie życia—ogarnia nas jakieś nieuniknione znużenie, lub gwałtowna chęć wykrzesania płomienia z tych zdań, co zaczynają martwieć, trupieć... Spokój tego stylu czystego, bez troski i bólów, zaczyna się sączyć w duszę jak jednostajny, cichy szelest deszczu górskiego. Życie zaczyna znikać; postacie—te grube, grubokrwiste, ociężałe postacie drażnią swoim bezwładem, zdaje się, że im brak czegoś, co rozstrzyga o człowieczeństwie—ha—może, powiedzmy wprost, o życiu. I nagle, jak rozkosz najwyższa, przewinie się w pamięci pierwsza lepsza zwrotka z Beniowskiego—

i oto dusza rozkołysana, porwana w bezmiar, rozumie odrazu, czem jest życie, a czem bezwład ducha, czem jest złączony w jedność wszechświat w sercu poety, a czem trupie rozmyślania nad tem że: „starzeję się", „zęby mi wypadają", „siły słabną—i po co mam żyć?"

A jednak, jeżeli w czem mogłaby być wielkość, to może właśnie w tej bezwzględnej szczerości „Spowiedzi". Straszne są wyznania Tołstoja w swej bezlitosnej prostocie: „zabijałem ludzi na wojnie, wyzywałem na pojedynki, żeby zabić, przegrywałem w karty, przejadałem pracę chłopów, męczyłem ich, wprowadzałem w błąd, oszukiwałem. Kłamstwo, złodziejstwo, cudzołóztwo wszelkiego rodzaju, pijaństwo, gwałt, zabójstwo... nie było przestępstwa, któregobym nie popełnił, i za to wszystko mnie chwalono, uważano i uważają moi rówieśnicy za stosunkowo moralnego człowieka". „Jedynem prawdziwem serdecznem naszem (t. j. poetów, artystów, literatów) pragnieniem, była chęć zebrania jaknajwiększej ilości pochwał i pieniędzy..." Dalej nazywa Tołstoj „pisanie książek i gazet" „pracą bezużyteczną" — i określa swój stan najbujniejszej twórczości tak: „teraz, gdy wspominam te czasy... żal mi i wstydzę się;— mam takie uczucie, jakiego doznaje się w domu obłąkanych".

Czyżby to były zupełnie szczere słowa? Czy niema w nich umyślnego oczerniania się? Napewno. I napewno ta nienawiść do własnego dawnego życia wynikła z trupiego doktrynerstwa, jakie zastąpiło u Tołstoja dawną twórczość. Bo czyż istotnie „żądza pochwał i pieniędzy" rozstrzygała o jego żądzy tworzenia? Czyż bezwiedny, a raczej niezrozumiany przez siebie samego instynkt piękna nie pchał potężnego artysty ku temu szczytowi życia, jakim jest sztuka?

Niewątpliwie. Lecz również nie ulega wątpliwości, że paliła mu duszę własna oschłość serca, brak łącznika pomiędzy nim a ludzkością — pomimo sztuki.

Gdy myślał nad życiem, z łatwością a rozpacznie przyjął rozumowania Salomona „marność nad marnościami". Życie wydało mu się głupim żartem — tęsknił do samobójstwa. Nie zrozumiał, bo nie mógł zrozumieć, ani Buddhy, ani Schopenhauera. Przechwalił się, twierdząc, że rozumie Kanta. W tych, tak pozornie oderwanych od życia abstrakcyach leży tak głębokie *odczucie* świata, że bez niego metafizycznie rozumować nie mógł. Ciekawe jest, iż rozumował tak, jakby życie jego oderwane było od życia świata, lecz poznał swój błąd. W następstwie zrozumiał metafizyczną istotę bóstwa, odczuł, że nie mając boga, trzeba przynajmniej „żyć, odnajdując boga".

I począł go szukać, i znalazł, jak twierdzi. Olbrzymim wysiłkiem inteligiencyi (artystycznej!) hodował w sobie, podsycał odczucie boskości. I to była niewątpliwa zdobycz cywilizacyjna tego samotnego, tragicznego barbarzyńcy. Wzniósł się do najprostszego uogólnienia myślowego i uczuciowego, do najprostszej syntezy. Stanął na poziomie, na którym mógł już zrozumieć metafizyczną treść religii.

Lecz dalej nie poszedł. Czucia nie starczyło. Zgubił się w myślowych kombinacyach. Z Biblii uczynił jedynie martwą sekciarską teoryjkę, nie zaś, jak Mickiewicz, piorunem w ręku wyzwalającego się duchem człowieczeństwa, w ręku wolności, mieczem walczącej o swoje prawa. Odczuł, iż w chrześciaństwie dzisiejszem prawda jest pomieszana z kłamstwem, lecz wrodzony bezwład duchowy kazał mu wybrać stąd treść o „niesprzeciwianiu się złu", zamiast Chrystusowego wołania o miecz.

Motywy same, jakie po odczuciu bóstwa skłoniły go ku chrześciaństwu, są śmieszne. Zauważył, iż miliony, żyjące w wierze, żyją bez troski o śmierć; stąd wniosek:

oni znają prawdę! Alež znacznie mniej troski o śmierć mają ludy wschodnie, Japończycy, Chińczycy, i wszelcy, którzy przebyli kulturę Buddyjską, a nawet Mahometanie. I ci żyją w spokoju... Czemuż więc wybierać chrześciaństwo?

I znowu odpowiedź: wrodzony bezwład ducha. Kazał on wybrać, co najbliższe.

Ale spojrzenie w lud—spojrzenie, spóźnione o lat 50!—dało mu jeszcze jedno: zrozumiał, że „zbytek, w którym żyjemy, odbiera nam możność pojmowania życia, i że dlatego, aby zrozumieć życie, muszę zrozumieć życie nie wyjątków, nie nasze — pasożytów życia, lecz życie prostego roboczego ludu—tego ludu, który stwarza życie i tę, treść, którą on nadaje życiu".

I chociaż treść ta nie polega bynajmniej na tem, aby „wyrzec się wszelkich uciech życia, pracować, pokornym być, cierpliwym, miłosiernym", czyli „żyć po bożemu", i wyrzucić trzeba przynajmniej z tych określeń koniecznie cierpliwość i pokorę, to jednak sam fakt zbliżenia się z ludem pozostał zaznaczony głęboko... Był to znowu pierwszy krok oschłej i barbarzyńskiej duszy do odczucia świata i ludzkości, jako wielkiej jedni, wielkiej spólnoty, w której niemasz miejsca na egoizmy drobnych dusz—pierwsze następstwo odczucia i zrozumienia boskości.

Niema co mówić. Kto nie odczuł, nie przemyślał, nie przeżył głębin religijnego myślenia, ten niech nie marzy nawet o pójściu w dalszą drogę myśli, ten niech nie bierze w rękę Kanta, Platona, ani ksiąg Wedy, ani nawet Buddyjskich nakazów. Każdy systemat filozoficzny, jeśli ma jakąś wartość, powstaje nie jako kombinacya „suchych" abstrakcyj, lecz jako synteza tego, co się przeżyło. Zrozumienie boskości jest myślenia etapem najpierwszym. Trzeba ją odczuć—ażeby iść dalej.

Tołstoj myśli swe zaczął przeżywać wtedy dopiero, gdy się zestarzał. Uczucia jego nie sięgały nigdy ponad pewne granice instynktów nieuświadomionych, instynkty zaś owe nigdy nie trącały o przepaści, właściwe takiemu np. Dostojewskiemu. Tołstoj wczuwać się zaczął w nędzę ludzką wtedy dopiero, gdy rozum mu na nią wskazał, stąd też *wmówił* tylko w siebie, że pokochał lud, masy. Odwrotną drogą szedł Nietsche: jemu ukochanie ludzi podyktowało pogardę dla nich. I wyniki niepodobne. Tołstoj, wskutek swej sztucznej miłości, radzi bierność, jako szczyt mądrości i obowiązku; Nietsche zaś nad wszystko wywyższył czyn—czyn bohatera. I to są zasadnicze różnice w myślach dawnej Rosyi i Zachodu, dzisiejszej burżuazyi i Młodej Rosyi.

Tłumaczenie książki — naogół dobre, zbyt często jednak mówi się tam *a* zamiast *lecz*. Oprócz tego, znalazłem kilka tylko jeszcze rusycyzmów.

Jan Kleczyński



Aleksander Świętochowski: PISMA. Wydanie *drugie powiększone.* Tom I. OBRAZKI POWIEŚCIOWE: *Damian Capenko.—Chawa Rubin.—Karl Krug.—Kiemens Boruta.—Oddechy.—Na pogvzebie.—Woły. — W lesie.—Złodzieje.—Bartłomiejka.—Ostatni pieniądz.—Pustelnik.*—Warszawa, 1908.

Dymitr Mereżkowski: PIOTR I ALEKSY—przekład Walerego Gostomskiego. Kraków, G. Gebethner i Sp.—ANTYCHRYST (1907, str. 473)—PIOTR WIELKI (190, str. 3048).

Poradnik dla samouków. Część V. ŚWIAT i CZŁOWIEK. Wykład zagadnień wiedzy w świetle teoryi rozwoju. Zeszyt I z 82 ilustr. i 3 tablicami kolor.: POJĘCIE ROZWOJU—opr. *J. Wasserberg.* WSZECHŚWIAT i JEGO ROZWÓJ — opr. *S. Kramsztyk.* ROZWÓJ ZIEMI—opr. *W. Nałkowski.*—Wydawnictwo A. Heflicha i S. Michalskiego. Warszawa. Skład główny w Księgarni Naukowej. 1908 (str. XVI+215).

Lina Boegli: „AVANTI"—Listy z podróży naokoło świata, napisała...., przełożyła *Marya Świderska.* Lwów. Nakł. Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka (str. 286).

Aniela Szycówna: KOBIETA W PEDAGOGICE—MATKA. Wydawnictwo jubileuszowe im. Orzeszkowej: *Kobieta w życiu społecznem.* Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1908 (str. 50).

Marya Turzyma: WYZWALAJĄCA SIĘ KOBIETA. W Krakowie. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. 1906 (str. 178).

Wydawnictwa *Polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia Kobiet:*

- *Ludwika Jahołkowska-Koszutska:* HEREZYE W RUCHU KOBIECYM. Warszawa. Skład główny w Księgarni Powszechnej (Marszałkowska 139) 1907, (str. 16).
- *Stanisław Koszutski, adw. przys.:* KOBIETA i POLITYKA (O potrzebie praw politycznych dla kobiet). Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethne-i Wolffa. 1908 (str. 30).
- *E. Chwalewik:* EKONOMICZNE CZYNNIKI RUCHU KOCIECEGO. Warszawa. Skład główny—Zgoda 4 (w lokalu Stowarzyszenia), 1908 (str. 20).
- *Cecylia Walewska:* Z DZIEJÓW KRZYWDY KOBIET. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1908 (str. 29).

Dr. Maurycy Straszewski, prof. filozofii w uniw. Jagiell.: W DĄŻENIU DO SYNTEZY — Pomysły i szkice z lat od 1877 do 1907. — Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł), 1908 (str. 309).

G. Tschirn, prezes związku wolnomyślnych w Niemczech: MORALNOŚĆ BEZ BOGA. Nakł. księgarni Alfreda Straucha w Łodzi, 1908 (str. 54).

Dr. Stanisław Kutrzeba, prof. uniw. Jagiell.: HISTORYA USTROJU POLSKI W ZARYSIE. Wydanie 2. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkułł). 1908 (str. VII+278).

Tadeusz Grużewski: ZBYTEK CZY BRAK INDYWIDUALNOŚCI. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa. 1908 (str. 43).

Władysław Jarkowski: IDEA POLSKA A EGOIZM NARODOWY. Wydawnictwo „Sumienie człowieka". Petersburg. 1907 (str. 31).

Jerzy Kurnatowski: KATOLICYZM I POLSKOŚĆ. Wydawnictwo tygodnika „Echa Kieleckie". 1907 (str. 31).

Helena Orsza: Z DZIEJÓW NARODU. Wypisy z źródeł i streszczenia z opracowań historycznych. Tom I. Z 36 rysunkami w tekście. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Kraków. S. A. Krzyżanowski. 1908 (str. XVIII+474).

Czesław Mech: KRWOTOKI — Upiorne sny z jawy bezsennej — przepisał... Księgarnia T. Paprocki i S-ka, Warszawa, 1908 (str. 31).

Jan St. Mar: DON JUAN REDIVIVUS. Poemat cyniczny. Ozdobił Zygmunt Ryszard Kamiński. Nakładem Wacława Wiedigera. Kraków. Druk. uniw. Jagiell. Warszawa. Księgarnia E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkułł). 1908 (str. 109).

Zim: Τοῦ βίου ἄνθοι (KWIATY ŻYCIA), Kijów. Nakład Zygmunta Gilewicza. Księgarnia Leona Idzikowskiego, Kreszczatyk, 29, w Kijowie. 1908 (str. 134).

Bolesław Biernacki: NAWRÓCONY. Powieść historyczna z XIV w. Warszawa, 1908, (str. 317).

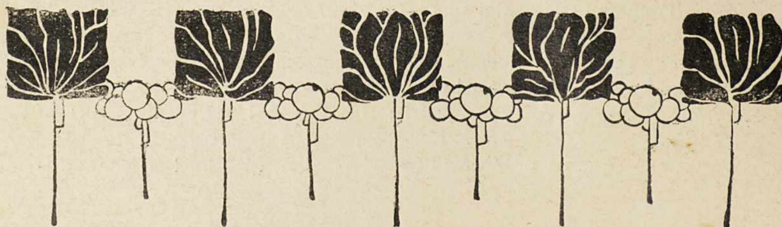
K. Rojan: SAM. Powieść dla dorastającej młodzieży. Lwów, 1908. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). Str. 215.

Aleksandra Suszczyńska: INACZEJ. Nowele. Warszawa, 1908. *N 530 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 138).

Wila Zyndram-Kościałkowska: SZKICE LITERACKIE. II. PROMETEUSZ. Warszawa, 1908. *Nr. 531 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 155).

Teodor Dostojewski: BIESY — Część I — tłum. T. K. Warszawa, 1908. *Nr. 532 Biblioteki Dzieł Wyborowych* (str. 138).

Juliusz Falkowski: WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849 — z przedmową *Tadeusza Grużewskiego.* Część III. Warszawa. *Nr. 533 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*



Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński

Druk Piotra Laskauera i Sp

„SFINKS"

miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy pod redakcyą **Wł. Bukowińskiego,** ozdobiony portretami, winietami i reprodukcyami dzieł sztuki, wychodzi w Warszawie od stycznia r. b. w rozmiarach **najmniej 10 arkuszy (160 stron) druku.**

W zeszycie marcowym zamieściliśmy między innemi: **portret Stefana Żeromskiego,** początek studyum **Ignacego Matuszewskiego** o Żeromskim i „Dziejach grzechu", tragiedyę A. Langego p. t. „Wenedzi", początek powieści **Zofii Rygier-Nałkowskiej** p. t. „Rówieśnice", studyum **A. Nowaczyńskiego** o Wyspiańskim, rozprawę **J. Kodisowej** p. t. „Krytyka pojęć naukowych", list z paryża **W. Kiślańskiej,** poezye i nowele **F. Arnsztajnowej, T. Micińskiego, Edm. Bogdanowicza, J. Lemańskiego, R. Kreczmara, M. Wikszemskiego, St. Stasiaka,** studyum o Chopinie i Moniuszce **A. Chybińskiego,** oceny i sprawozdania prof. **A. Brücknera, J. Dąbrowskiego, A. Drogoszewskiego, Wł. Bukowińskiego,** przegląd prasy polskiej, rosyjskiej i francuskiej, przegląd teatralny, muzyczny etc. Nadto dodany osobno rysunek **St. Masłowskiego,** ozdoby i winiety Bogusławskiej, Minkiewicza, Popowskiego i Wyspiańskiego, okładka artystyczna **J. Rembowskiego.**

W zeszycie kwietniowym dajemy między innemi: dłuższy ustęp z „Sobieskiego" **Deotymy, ciąg** dalszy studyum **Matuszewskiego** o Żeromskim i „Dziejach grzechu", prace naukowe **Edw. Abramowskiego i dr. M. Stefanowskiej,** studyum **A. Baslera** o malarstwie francuskiem, szereg utworów poetyckich i sprawozdań, dwie reprodukcye obrazów, dwa portrety etc. Obok dalszego ciągu powieści „Rówieśnice", rozpoczynamy druk powieści fantastycznej z tajemnej księgi Tatr p. t. **„Nietota",** ukończonej świeżo przez **Tadeusza Micińskiego.**

Nowi prenumeratorzy, nadsyłający przedpłatę do końca roku (rb. 6 w kraju, $7^1/_2$ zagranicą) wprost do Administracyi „SFINKSA" (Miodowa 15), otrzymać mogą zeszyt marcowy **bezpłatnie,** dołączając tylko kop. 25 na koszt przesyłki pocztowej. Zeszyt ten zawiera 180 stron.

Prenumerata kwartalna „SFINKSA" wraz z przesyłką wynosi rb. 2; zagranicą rb. $2^1/_2$.

Adres Redakcyi i Administracyi: Miodowa 15, tel. 75-31, w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

Poradnik dla Samouków

Część V: „Świat i Człowiek"

wydanie 2-ie, rozszerzone.

Zeszyt I: Pojęcie rozwoju — opr. **I. Wasserberg**
Wszechświat i jego rozwój „ **S. Kramsztyk**
Rozwój ziemi — „ **W. Nałkowski**

Warszawa, 1908, str. XVI+215, z 82 ilustracyami i 3 tabl. kolorowanemi. Cena 1 r. 35 k.

Skład główny w Księgarni Naukowej (Krucza 44).

KRYTYKA

miesięcznik, poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce, wychodzi rok X w Krakowie pod redakcyą Wilhelma Feldmana.

Zeszyt I styczniowy „Krytyki“ zawiera następującą treść:

1. **(f.)** Gieniusz a społeczeństwo. 2. **St. Wyspiański: Z** listu. Fragmenty z „Wesela“. Bądź jak meteor (z teki pośmiertnej). 3. **St. Lack**: Dwa zasadnicze motywy muzyki Wyspiańskiego. 4. **Aleksander Campbell-Clyde**: Na pogrzeb mocarza. 5. **Jerzy Kurnatowski**: Metafizyczne podstawy etyki. 6. **Tadeusz Nalepiński**: O wyzwoleniu krwawem. 7. **Dr. W. Miklaszewski**: Kobieta wyzwolona a miłość. 8. **Tadeusz Dąbrowski**: Na marginesach Daniłowskiego „Jaskółki“. 9. **J. K. M.**: Zabór pruski wobec ustawy ekspropryacyjnej. 10 Przegląd: I. Prasa polska. II. Prasa obca. III. Po zgonie Wyspiańskiego. IV. **H. Orsza**: Ze spraw wychowawczych i towarzystw oświatowych. V. **Lux**: Ruch wolnej myśli. VI. **(x.)** Teatr krakowski. VII. **E. B.**: Teatr zagraniczny. VIII. Z praktyk cenzury w Galicyi. IX. **T. Dąbrowa**: Z życia umysłowego Lwowa. 12. Sprawozdania naukowe i literackie.

Zeszyt II lutowy zawiera:

1. **(f.)** La bête humaine. 2. **Leop. Staff**: Radość i smutek szczęścia i chwili. Cykl poezyi. 3. **Dr. Bron. Potocki**: Kwestya ruska w Galicyi i projekt jej załatwienia. 4. **M. Markowska**: Oni. — Pamięci. Poezye. 5. **W. F.**: Stef. Żeromskiego „Dzieje grzechu“. 6. **Jan Dąbrowski**: Deszcz. Nowela. 7. **M. Turzyma**: O miłość. 8. **St. Lack** „Wspomnienia“ o St. Wyspiańskim. 9. **Peregrinus Polonus**: Luźne uwagi o socyalistach i burżujach. 10. **Tad. Dąbrowski**: Na marginesach „Jaskółki“ Daniłowskiego. 11. Przegląd: I. Prasa Polska. II. Prasa obca. III. Po zgonie Stan. Wyspiańskiego. IV. **T. D.**: Teatr lwowski. V. **E. B.**: Teatr zagraniczny. VI. **Lux**: Ruch wolnej myśli. VII. **Iro**: Nastroje warszawskie. 12. Sprawozdania naukowe i literackie.

Zeszyt III. „Krytyki“ zawiera:

1. **(f.)**: Wizyta w Poznaniu. 2. **St. Wyspiański**: Ze sztuki — śmieci (z niewydanych rękopisów). 3. **Jan Jastrzębiec-Hempel**: Marzyciel. 4. **Tad. Miciński**: * * * 5. **Manfred Kridl**: „Mickiewicz“ Artura Górskiego. 6. **Dr. H. Biegeleisen**: Aryanie polscy 7. **M. Zabojecka**: Poślubieńcy buntu. 8. **Wł. Orkan**: Z epilogu p. t. „Franek Rakoczy“. 9. **Bol. Gorczyński**: Nierządnica a kobieta uczciwa. 10. **Gabryel d'Annunzio**: Siewcy **Giosue Carducci**: Stary ból; **Lorenzo Stecchetti**: Organetto. Przełożył **Józef Ruffer** 11. **F. Mirandolla**: O, roztocz nad nią pióra. 12. **Przegląd**: I. Prasa polska. II. Prasa obca. III. **J. S.**: Parę uwag o ruchu artystycznym w Krakowie. IV. **(x)**: Teatr krakowski. V. **E. B.**: Teatr zagraniczny. VI. Gieniusz a społeczeństwo. VII. Kultura polska czy wszechpolska. Głos ze Lwowa. 13. Sprawozdania naukowe i literackie.

Prenumerata wynosi: rocznie 12 mar. lub koron, półrocznie 6 mar. lub k.; w Królestwie i Rosyi rocznie 7 rb. 60 kop., kwart. 1 rb. 90 kop., w Warszawie półrocznie 3 rb. 26 kop., kwartalnie 1 rb. 50 kop.

Adres wydawnictwa: Kraków, ul. Stachowskiego, 14.

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa, Nowy-Świat 41.